№ 48. Warszawa, dnia 1 Grudnia (19 Listopada) 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Na najpoddanniejsze życzenia z powodu uroczystego dnia urodzin Jej Cesarskiej Mości, małżonka Głównego Naczelnika kraju miała szczęście otrzymać d. 27 b. m. od Najjaśniejszej Pani depeszę następującą:

„Z całej duszy dziękuję Pani, hrabinie Potockiej, hrabinie Musin-Puszkinej i wszystkim, przyjmującym udział w ufundowaniu obrazu na pamiątkę Naszego cudownego ocalenia.

MARJA."

Życzenia Jej Cesarskiej Mości złożono w drodze telegraficznej w wyrazach następujących:

„Wasza Cesarska Mość! Żony i córki mieszkańców Warszawy, przejęte bezgranicznem szczęściem z powodu cudownego ocalenia drogocennego życia Monarchy i Monarchini od wielkiego niebezpieczeństwa, postanowiły ufundować obraz Przenajświętszej Bogarodzicy—by chroniła Wasze Cesarskie Moście i Najjaśniejszą Rodzinę na szczęście i pomyślność całej wielkiej ziemi naszej.

Gorąco się modląc o długie dni dla swej Monarchini, ośmielamy się w dzień radosny urodzin Waszej Cesarskiej Mości złożyć u stóp Waszych uczucia najgłębszego, wiernopoddańczego oddania się i kusimy się mieć nadzieję, iż skromną naszą ofiarę dobrotliwie przyjmie Wasza Cesarska Mość."

Marja Hurko.
Hr. Aleksandra Potocka.
Hr. Olga Musin-Puszkina.

(*Warsz. Dniew.*)

Niedługo **Prawda** *kończy ósmy rok swego istnienia. Polecając ją nadal życzliwemu poparciu przyjaciół i współwyznawców, obiecujemy im tylko, jak zwykle, pracę w dobrej woli i wytężeniu sił naszych dla sprawy postępu, której wiernie służymy. Spełniać będziemy, jak spełnialiśmy, wszystko, co obowiązek wskaże a możność pozwoli.*

O wczesne nadsyłanie prenumeraty uprzejmie prosimy. Abonenci przybywający od nowego roku, nabyć mogą dwa pierwsze zeszyty **Antropologii** *za kop. 50 (z przesyłką pocztową kop. 65).*

POLITYKA.

PIRAMIDA POKOJU.

Anglia, Francya, Włochy, Belgia, nawet Szwajcarya, nie mówiąc już o Niemcach, gotują się do nowych wysiłków pieniężnych na cele wojenne. Prawie wszystkie budżety, przedstawione sejmom, zawierają szereg wysokich w tym kierunku żądań. Wszyscy pytają, dokąd ten ruch dojdzie, ale nikt nie ma siły go powstrzymać. Wytworzył się jakiś żelazny fatalizm, który zmusza narody do pracy nad własną ruiną, do olbrzymich a bezużytecznych wydatków, do utrzymywania milionów ludzi pod bronią a całej Europy pod strachem. Nie mamy jeszcze ogólnego zsumowania wszystkich jej kosztów wojskowych za rok bieżący, ale da nam o nich przybliżone pojęcie jeden, bardzo obrazowo przedstawiony rachunek w gazecie paryskiej *L'émancipation*. Przejrzyjmy go. Ekonomista francuski E. Gide ocenia dług państwowy Francyi na 30 miliardów. Zamieniony na srebro wytworzyłby on piramidę, mającą 1,000 metrów kwadratowych w podstawie i 300 m. wysoką — a zatem około dwa razy tak wielką, jak najwyższa piramida egipska lub też równą wieży Eiffla, budowanej obecnie na wystawę paryską 1889 r. Dług Anglii przedstawiłby się w piramidzie o 180 metrach, Niemiec, Austryi, Stanów Zjednoczonych i Włoch — od 100 do 120 m., Szwecyi zaś — 1.50 m. — w porównaniu z górami poprzedniemi prawdziwe kretowisko.

Nasuwa się tu jednak smutna myśl o różnicy, jaka zachodzi między piramidami kamiennemi Egiptu a owemi srebrnemi naszych czasów, mianowicie tamte spoczywają na ziemi, te zaś na barkach ludzkich. Według Gide'a każdy francuz dźwiga średnio 3,000 fr.; ponieważ jednak do tego ciężaru przywyka od dzieciństwa, więc go nie czuje, jak kaleka swego garbu. Ale gdyby go się pozbył, doznałby wielkiej ulgi.

Stu lat tylko potrzeba było we Francyi do wzniesienia tego pomnika. Dług jej w początku tego stulecia dosięgał miliarda franków. Odtąd wzrastał ustawicznie, przeciętnie o 333 milionów rocznie, co stanowi: 912,000 fr. na każdy dzień, 38,000 — na godzinę, 130 fr. — na minutę, a 10½ — na sekundę. W ostatnich trzydziestu latach powiększył się bardzo, a ponieważ nie ma żadnej przyczyny, ażeby zmalał, to prawdopodobnie w przyszłości najbliższej z 30 miliardów dojdzie do 300 a olbrzymi ciężar tak zmiażdży 40 milionów francuzów, jak wieża Notre Dame ślimaki. Gdyby przynajmniej — mówi Gide — ta piramida była pomnikiem historyi i dokonanych zdobyczy, gdyby każda jej bryła ogłaszała zwycięztwo i gdyby można było zastosować do niej słowa W. Hugo: „Sława na tym szczycie zapali pochodnię!" Wtedy przynajmniej patrzylibyśmy na nią z dumą. Ale nie! Nie tryumfy, ale klęski ją wzniosły. Jest ona pomnikiem najazdów, rewolucyj i walk wewnętrznych, wojen nieszczęśliwych i bezpłodnych. Na każdym jej złomie wyczytać można imiona bolesne. Waterloo i Sedan wyryte są na niej miliardowemi głoskami. Czy więc pokolenia następne muszą być koniecznie skazane na dźwiganie tego ciężkiego po nas spadku i opłacanie naszych głupstw? Nie, będą one miały dosyć własnych. Jeżeli tedy sami nie możemy zrzucić z siebie gniotącego brzemienia, starajmy się chociaż uwolnić od niego nasze dzieci!

Mniej więcej to samo o swych „piramidach" powiedzieć mogą inne państwa. Bo nawet te, które nie mają Waterloo lub Sedanu, a raczej mają je wyrzeźbione między imionami sławy orężnej, nie zażywają szczęścia. Co dała niemcom — nie ich rzą-

dowi — pełna zwycięstw wojna z Francyą? Czy są bogatsi, szczęśliwsi, swobodniejsi? Niech odpowiedzą na to pytanie, odtrąciwszy blichtr, świecidła, mocniejsze okucia dla pięści. Piramida „pokoju zbrojnego“ świeci blaskami pychy, ale ich rozgniata, miażdży lub pozwala jedynie na życie robacze. Zaiste, gdy przyszłe pokolenia obejmą uważnie ten pomnik naszych czasów, jego godła i napisy, zdumią się, ale tylko nad zaślepieniem swych przodków, którzy — że użyjemy porównania Gide'a, urodzili się prości i zdrowi a sztucznie wytworzyli sobie ciężkie garby.

DLA WIADOMOŚCI.

Kłopoty a nawet klęski Niemiec w Afryce są dla nas całkiem obojętne politycznie, ale nieobojętne — że tak powiemy — geograficznie. Że u wybrzeża zanzibarskiego runął zbudowany na lodzie zamek niemiecki, że wyzyskiwani i ciemiężeni krajowcy zbuntowali się przeciw najezdcom germańskim, że kilku zabili a całą gromadę wygnali, że oparte na ich krzywdzie przedsiębiorstwo handlowe zbankrutowało, to o nasze interesy nawet z oddali wcale nie zatrąca, a więc praktycznie nas nie obchodzi. Wypadki te wszakże zrodziły szereg zmian na wschodzie Afryki i niewątpliwie oddziałają na jej przyszłość; z tej strony, jak wszystko, co się dzieje w obszarze świata cywilizowanego zasługują na uwagę. Mają one już swoją historyę.

Kiedy przed paru laty rozniecono w Niemczech szał do zakładania kolonij zamorskich, zawiązał się w Berlinie „Komitet Tany“ pod przewodnictwem nadburmistrza Forckenbecka i z udziałem dwu znanych podróżników— braci Denhardt. Celem tej spółki było wyzyskanie dla handlu niemieckiego porzecza Tany (wpadającej do morza na północ w. Zanzibaru) i opanowanie sułtanatu Witu. Ale brak pieniędzy udaremnił te zamiary, które ograniczyły się do nabycia kawałka ziemi w owym sułtanacie.

Równocześnie z tem powstało inne przedsięwzięcie. Dr. K. Peters, znany geograf, pojechał z kilku towarzyszami do Afryki i na jej krawędzi wschodniej, naprzeciw Zanzibaru, kupił od krajowców pewną ilość mil kwadratowych ziemi. Wróciwszy do Berlina, utworzył na tej podstawie „Towarzystwo niemiecko - wschodnio - afrykańskie.“ Ale ponieważ odbył on tę podróż po raz pierwszy, nabył posiadłość bez znajomości języka i warunków miejscowych, zaczęły się przeciwko niemu i jego dziełu odzywać powątpiewania i zarzuty, które jednak szybko umilkły, skoro Towarzystwo od świata finansowego otrzymało potrzebne pieniądze a od rządu list opiekuńczy i poparcie wysokich dostojników państwa. Wobec takiego współzawodnika „Komitet Tany“ upadł; udało mu się tylko część ziemi odstąpić grupie ludzi zamożnych i wpływowych, którzy utworzyli „Towarzystwo Witu,“ część zaś bracia Denhardt zatrzymali dla siebie i założyli kolonię własną.

Naturalnie główną rolę w tej kolonizacyi przyjęło Towarzystwo, którego ojcem był Peters. Wyspą Zanzibarem rządzi sułtan (seid=pan) Bargasz, który ulega wpływowi konsula angielskiego J. Kirka i wzajem doznaje od niego poparcia w stosunkach handlowych. Na wybrzeżu bowiem Afryki, przeciwległem tej wyspie, oraz głębiej na lądzie stałym znajduje się pewna liczba osad tuziemczych, które nie poddały się władzy sułtana zanzibarskiego, ale przyznają mu niejakie przywileje. Mianowicie mieszkańcy ich wydzierżawili mu cła. W tym celu urządził on na wybrzeżu szereg komór i posterunków straży granicznej, utrzymuje tam dozór policyjny, czuwa nad porządkiem i spokojem, a z tego stosunku wynikło dlań stanowisko poniekąd zwierzchnicze względem pobrzeża, wzmocnione opieką angielską. Dodać tu należy, że rodzina seida Bargasza jest dorobkiewiczowską, podczas gdy sułtan Witu pochodzi z domu dawnych władców kraju i dla walki ze współzawodnikiem chętnie przyjął pomoc niemiecką.

Interesy tedy niemieckie musiały się zetrzeć z angielskiemi. Dla rozgraniczenia ich odbywano na miejscu i w Londynie (1886) wspólne narady pełnomocników stron obu, które doprowadziły do następującego układu:

Władcy Zanzibaru przyznany został cały pas brzeżny 10 mil morskich wszerz i 8½ szerokości geogr. wzdłuż. Po za tym pasem aż do wielkich jezior olbrzymi ląd podzielono na dwie sfery interesów: angielską i niemiecką. Wyżej nad tym obszarem leżący sułtanat Witu z wybrzeżem przeszedł pod opiekę Niemiec. Chociaż Anglia zadowoliła się pozornie wązkim skrawkiem, przegrodziła nim posiadłości niemieckie a nadto opanowała najlepszą drogę handlową do wnętrza Afryki, mianowicie rzekę Tanę. Dwa Towarzystwa afrykańskie: angielskie i niemieckie, znalazłszy się obok siebie, zaczęły napierać na sułtana Zanzibaru, ażeby im odstąpił pobór ceł. Seid dogodził obu i za pewną sumę zrzekł się dzierżawy na ich korzyść. W tym fakcie zatlił się płomień buntu. Plemiona wybrzeża nie potwierdziły tego przelewu praw celnych ze współwyznawcy na przybyszów białych. Niechęć tę podniosły inne przyczyny, a głównie postępowanie urzędników niemieckich, którzy wzięli się do rzeczy ze ścisłością i szorstkością pruską, przeciąwszy lub potargawszy całą sieć stosunków handlowych, łączących wybrzeże z wnętrzem kraju. Naturalnie sułtan zanzibarski, który tylko uległ konieczności, nie miał żadnego powodu gaszenia iskier dojrzewającego wybuchu, krajowcy zaś, widząc niezgodę i ostre współzawodnictwo między anglikami i niemcami, tem śmielej wystąpili przeciw ostatnim.

Ludność ta jest mieszaną: przeważnie składa się z suahelów, arabów i murzynów. Są to żywioły nieco ucywilizowane i — zwłaszcza pochodzenia arabskiego — energiczne. Z jednej strony celnicy sułtana zanzibarskiego, wyparci przez urzędników europejskich, z drugiej— handlarze niewolników, którym zaczęto psuć interesy, pracowali gorliwie nad wzburzeniem krajowców. Nareszcie wybuch nastąpił.

Nie będziemy szczegółowo opisywali krwawej rozprawy między zbuntowanymi krajowcami a urzędnikami Towarzystwa wschodnio-afrykańskiego, którzy częścią zginęli, częścią schronili się na okręty niemieckie. Według umowy londyńskiej sułtan zanzibarski jest obowiązany przywrócić spokój na wybrzeżu, nie ma on wszakże do tego ani chęci, ani mocy i z rozkoszą pozbyłby się białych, zwłaszcza zaś niemców. Ponieważ jego pomoc nie może być skute-

2)

Nad brzegiem morza.

Guy de Maupassant.

Cannes.

Szczęśliwi ci, którym dobrze na świecie, którzy się bawią i są zadowoleni.

Są ludzie lubiący wszystko i zachwycający się wszystkiem. Lubią słońce i deszcz, śnieg i mgłę, zabawy i ciszę domowego ogniska, wszystko, co widzą, co robią, co mówią, co słyszą.

Tacy pędzą życie słodkie, spokojne, pogodne wśród otaczającego ich potomstwa. Tacy nie nudzą się nigdy.

Życie dla nich jest rodzajem widowiska wesołego, gdzie sami są aktorami, rzeczą dobrą i urozmaiconą, która nietylo ich dziwi, ile zachwyca.

Ale inni, przebiegając myślą błyskawiczną ciasne koło możliwych przyjemności, widzą z rozpaczą całą nicość szczęścia, jednostajność i ubóstwo ziemskich rozkoszy.

Gdy dojdą do lat trzydziestu, wszystko dla nich skończone. Czegożby się mogli spodziewać? Nic ich już nie bawi; zakosztowali wszystkiego.

Szczęśliwi, co nie doznają zabójczej odrazy do zajęć codzień jednakich; szczęśliwi, co mają siłę powtarzać codzień jedno w kółko, z tymi samymi odruchami, około tych samych sprzętów, pod tem samem niebem, chodzić po tych samych ulicach, gdzie spotykają te same postaci, te same zwierzęta. Szczęśliwi, co nie spostrzegają z najwyższym niesmakiem, że nic się nie zmienia, nic nie przechodzi, a wszystko nuży.

Trzeba rzeczywiście posiadać umysł ciężki, ciasny i mało wymagający, ażeby się zadowolić tem co jest. Jak się to dzieje, że publiczność świata całego nie zawołała jeszcze: „Podnieść kurtynę!“ nie zażądała następnego aktu z innymi niż człowiek istotami, nie zapragnęła innych form, innych rozkoszy, innych wynalazków, innych zdarzeń?

Czyż naprawdę nikt nie doznał odrazy na widok twarzy ludzkiej wiecznie tej samej, na widok zwierząt podobnych do żywej maszyny, z wiecznie tym samym instynktem, przekazywanym potomstwu od pierwszego do ostatniego, na widok krajobrazów wiecznie tych samych i przyjemności jednakich?

Słodź sobie życie nauką i sztuką, powtarzają.

Ale czyż nie widzą, że jesteśmy niewolnikami samych siebie, niemogącymi się nigdy od siebie uwolnić, skazywani na ciągnienie kuli naszych marzeń bez polotu?

Cały postęp naszej pr[illegible] mózgowej polega na sprawdzaniu faktów materyalnych zapomocą instrumentów niedokładnych aż do śmieszności, które wszakże cokolwiek wspierają niedoskonałość naszych organów. Co jakieś lat dwadzieścia biedny badacz odkryje, że powietrze zawiera gaz jeszcze nieznany, że pocierając lak o sukno uwalnia się siłę potężną, a niedającą się określić, że pomiędzy niezliczoną ilością gwiazd nieznanych znalazła się jedna, której sąsiedztwa nie zaznaczono z inną, widzianą i ochrzczoną oddawna. I cóż stąd?

Przyczyną naszych chorób są mikroby. Bardzo dobrze. Ale skąd pochodzą te mikroby? Skąd pochodzą słońca i gwiazdy?

Nic nie wiemy, nic nie widzimy, nic nie możemy, nic nie odgadujemy, nic nie wytwarzamy, jesteśmy zamknięci, uwięzieni w sobie. A są tacy, co się zachwycają geniuszem ludzkim!

Sztuki? Malarstwo zasadza się na odtwarzaniu jednostajnymi barwami krajobrazów nic a nic nieprzypominających natury, na malowaniu ludzi, nic a nic, mimo usiłowań artysty, niepodobnych do istot żyjących. Lata całe ubiegają się ludzie, a zawsze na próżno, o naśladowanie rzeczywistości i dochodzą do tego, że te nieme i martwe kopie czynności życiowych przekonywają, co usiłowano chcieć.

Po co te usiłowania? Po co te próżne naśladownictwo? Po co to banalne odtwarzanie rzeczy tak smutnych samych w sobie?

Poeci czynią to samo z pomocą wyrazów, co malarze z pomocą barw. I po co?

czną i nie jest szczerą, więc Niemcy do współki z Anglią przedsięwzięły blokadę wybrzeża dla zmuszenia tym sposobem rokoszan do posłuszeństwa. Kilka okrętów nie zamknie tak wielkiej przestrzeni, udział Anglii w wyprawie będzie pozornym a raczej skierowanym wyłącznie ku jej interesom— to też niemieckie Towarzystwo nie czekając wątpliwych dobrodziejstw blokady ogłosiło swą upadłość ze stratą 2 milionów marek.

Tak się przedstawiają obecnie stosunki na tym pasie Afryki wschodniej, gdzie niemcy tyle posieli słodkich nadziej a tyle zebrali gorzkich zawodów.

E. B.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po całej Europie gruchnęła pogłoska, że Floquet, chcąc raz położyć koniec wszelkim knowaniom przeciw Rzeczypospolitej, przygotował jakiś zamach stanu. Wiadomości tej zaprzeczono i być może, że w tej formie, w jakiej obiegła świat, nie była prawdziwą. Ale z drugiej strony ukazały się znaki, zdradzające zamiar energicznego wystąpienia rządu przeciwko bulanżystom i tym wszystkim, którzy wraz z nimi wichrzą. Nie zaprzeczając uroku barwom tęczy, jakiemi się mieni w teoryi swoboda republikańska, przyznać trzeba, że jej odbicia praktyczne są często odblaskami słońca w kałużach. Zamieszanie, panujące obecnie we Francyi, nie jest rozwojem wolności, ale igrzyskiem i walką samolubstw. Z takiego zamętu niema innego wyjścia, tylko zamach stanu. Dokona go albo dyktator republikański, albo monarchiczny, ale ktoś śmiały i silny dokonać go musi. Naród, zmęczony nieustannym jarmarkiem i boksowaniem się stronnictw, powitałby gwałt, porządkujący wreszcie stosunki, jako dobrodziejstwo. Czuje on bowiem, że lepszy ład najgorszy, niż żaden. Izba zamieniła się na karczmę, każdorazowy rząd gra rolę woźniców, strącanych z kozła przez tłum uliczny, stróże i wykonawcy prawa, którzy mają posiadać władzę i powagę, przeciągani są codzień przez rynsztoki — okropny widok! W zażartej walce trudno nawet odróżnić, gdzie się kończą istotne winy, a gdzie zaczynają potwarze. Dziś wystąpił Numa Gilly, który odkrył całą gromadę „Wilsonów,“ jutro pojawi się inny, który dowiedzie, że oskarżyciel był zbrodniarzem pod maską. Niewątpliwie, przy niedołęztwie rządów Grevego nagromadziło się dużo zepsucia tajonego, ale ruch warcholski, zrodzony przez Boulangera a podsycany przez jego sprzymierzeńców, wytworzył prawdziwą wściekliznę, chęć kąsania wszystkich bez różnicy, aby tylko zniszczyć obecny porządek rzeczy. Trzeba teraz Herkulesa, który by podusił złe gady i oczyścił stajnię Augiaszową. Czy nim będzie Floquet? Już to dobre, że nim być chce.

Cesarz niemiecki otworzył osobiście posiedzenia sejmu. Mowa jego z akcentami pokojowymi nie zawiera żadnej myśli wydatniejszej. Nie wspomniano w niej nawet o nowych wydatkach wojennych, chociaż to wcale nie znaczy, ażeby one wkrótce nie okazały się potrzebnymi „dla utrzymania stosunków przyjacielskich ze wszystkiemi państwami.“ Zwykłą o tej porze wyprawę gadzinowców przeciw finansom ruskim powstrzymano, ale również i to nie ręczy, że za tydzień lub dwa ona nie będzie podjęta.

Skutkiem przeziębienia się na polowaniu cesarz Wilhelm zasłabł, przyczem wystąpiły „cierpienia miejscowe.“ Cierpienia te, oprócz ubezwładnionej ręki, dotyczą głównie uszu, w których oddawna osiadło kalectwo. O ile ono jest groźnem i nieuleczalnem, wiedzą tylko wtajemniczeni; w każdym razie niepożądany to objaw w synu, którego ojciec umarł na raka.

Pierwsze wybory do skupczyny serbskiej, dokonane w kraju wzburzonym, musiały odbyć się nieprawidłowo. To też unieważniono je i wyznaczono nowe. Wątpimy, czy i te przejdą bez pogwałceń prawa. Na prawidłowość działania liczyć tam nie można.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SĄDY GMINNE W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Sądy gminne obecnie uledz mają reformie a jej charakter wyjaśnia okólnik starszego prezesa Izby sądowej warszawskiej, którego zasadnicze punkty podajemy w streszczeniu (na podstawie art. *Gaz. warsz.* nr. 297):

Pod wielu względami nie odpowiadają oczekiwaniom rządu. Uderza przedewszystkiem brak doświadczenia, nadużycia przy wyborach, tendencyjność wyroków. W wielu miejscowościach — mówi okólnik — kierunek przeszedł w ręce pisarzy, rekrutowanych z urzędników sądów dawnych, wyćwiczonych w kazuistyce, którzy przez to samo potrafili zagarnąć wymiar sprawiedliwości. Te słabe strony wykryła już rewizya, dokonana przez senatora Gerarda przed kilku laty. Aby choć w części zaradzić złemu, wydano prawo z d. 23 maja 1882 r., na mocy którego wszystkie okręgi sądowe w Królestwie Polskiem rozkazano podzielić na trzy koleje, wybory sędziów i ławników dokonywać nie co trzy lata równocześnie w całym kraju, jak było ustanowione, lecz corocznie w trzeciej części okręgów. Środek ten pozwalał zaprowadzić ściślejszą kontrolę oraz przy stopniowem ustępowaniu osób urzędujących, czynił skuteczniejszym nadzór prezesów zjazdów nad działalnością sądów gminnych. Z tych samych powodów rząd, uznawszy za konieczne rozszerzyć władzę sędziów pokoju sądów gminnych, nie uważał za właściwe porównywać ostatnich z pierwszymi i dla tego prawo z d. 30 maja 1882 r. oddało część spraw ludności włościańskiej z przekroczeń ważniejszych pod rozpoznawanie sędziów pokoju w miastach. Ministeryum sprawiedliwości również zaczęło zwracać większą uwagę na kandydatów do sądownictwa gminnego i nie uznając osób wybranych przez lud za odpowiednie, mianowało sędziów z urzędu. To samo mniej więcej zastosowano i do posad ławników. W miarę tego — mówi w innem miejscu okólnik — jak rząd stara się zapewnić ludności wiejskiej kraju tutejszego prędki, sprawiedliwy, równy dla wszystkich sąd i usunąć wszelką stronność, w łonie miejscowej inteligencyi i szlachty polskiej coraz wyraźniej występuje dążność do ubiegania się nietylko o posady sędziów gminnych, lecz i ławników. W tych urzędach widzą oni jeden ze środków wejścia w bezpośrednie stosunki z ludem i wywierania nań wpływu. Występując, dzięki swemu stanowisku, jako sędziowie mnóstwa spraw, wy-

---

Kiedy przeczytasz czterech najzręczniejszych i najzdolniejszych, zbytecznem jest czytać innych, niczego się bowiem więcej nie dowiesz. I oni także nie umieją nic innego, tylko naśladować człowieka. Wyczerpują się nad pracą niewdzięczną, bo człowiek się nie zmienia. Odkąd się myśl zrodziła, człowiek jest zawsze jednaki; jego uczucia, przekonania, wrażenia są też same, nie postąpił, nie cofnął, nie ruszył się z miejsca. Po co się nam dowiadywać czem jestem, czytać co myślę, przyglądać się sobie samemu w pospolitych zdarzeniach jakiego romansu?

Ach! gdyby poeci mogli przeszybować przestrzeń, zwiedzić gwiazdy, odkryć inne światy, inne istoty, urozmaicać naturę i kształt rzeczy, prowadzić mię ciągle wśród zdumiewającego bezustanną zmianą czegoś nieznanego, otworzyć tajemnicze podwoje na cudne a nieznane krajobrazy, czytałbym ich dzień i noc. Ale oi bezsilni, umieją tylko przestawić wyraz z miejsca na miejsce i jak malarze ukazać mi mój własny wizerunek. I po co?

Myśl ludzka jest nieruchoma.

Kiedy raz dojdzie do oznaczonych, stałych, blizkich granic, kołuje w nich jak koń w cyrku, jak mucha zamknięta w butelce odbijająca się o nieprzebyte zapory.

A jednakże, ponieważ nie może być inaczej, słodko jest oddać się myślom w samotności.

Siedząc na tym małym statku kołysanym przez morze, statku, który jedna silniejsza fala może zanurzyć w otchłani, jestem dumny, że czuję i rozumiem całą nicość naszej wiedzy, całą nicość naszego istnienia.

Zasnąłem twardo, kołysany ruchem statku. Nazajutrz chcąc zwiedzić eskadrę, stojącą w zatoce, przepływałem około wyspy świętej Małgorzaty, na szczycie której wznosi się potężny zamek. Mury jego z prawej strony opierają się na skale, tworząc ścianę jednolitą, opłukiwaną morzem, wierzchołek zaś budowli niewiele przewyższa brzeg wyspy cokolwiek wzniesiony; wygląda jak głowa wtłoczona między dwa potężne ramiona.

Widać doskonale miejsce, którędy się spuścił Bazaine. Nie potrzeba być bardzo zręcznym gimnastykiem, aby się dostać na te gościnne skały.

O ucieczce tej, opowiadał mi z najdrobniejszymi szczegółami człowiek doskonale obznajmiony z całą sprawą.

Więzienie Bazaina było dość swobodne, mógł więc codziennie przyjmować żonę i dzieci. Otóż, pani Bazaine, natura energiczna, oświadczyła mężowi, że opuści go nazawsze wraz z dziećmi, jeżeli on się nie zgodzi na ucieczkę i powiedziała co zrobić zamierza. Wahał się wobec niebezpieczeństw i wątpliwości powodzenia, w końcu przystał, widząc że żona gotowa wypełnić swoją pogróżkę.

Codziennie przynoszono do twierdzy zabawki dla dzieci, cały przyrząd do gimnastyki pokojowej. Z tych to zabawek zrobiono sznur węzłowy, a robiono go powoli, by nie budzić podejrzeń i ukryto w kącie łączki.

Wtedy oznaczono termin ucieczki. Wybrano niedzielę, jako dzień, w którym więcej zostawiano więźniowi swobody.

Pani Bazaine wyjechała na dni kilka. Marszałek przechadzał się zwykle po łączce do ósmej wieczorem w towarzystwie zawiadowcy, bardzo miłego człowieka. Potem wracał do mieszkania, które dozorca zamykał wobecności swego nadwładnego.

Tego dnia Bazaine narzekając na ból głowy, chciał wrócić do siebie godziną wcześniej. Istotnie wszedł do pokoju, lecz kiedy zawiadowca poszedł zawołać dozorcę, żeby natychmiast zamknął więźnia, wybiegł i ukrył się w dziedzińcu.

Zamknięto więzienie upróżnione i każdy udał się do swego mieszkania.

Około jedenastej Bazaine wyszedł ze swej kryjówki, zaopatrzony w sznur. Przywiązał go i zsunął się po skałach.

O brzasku dnia, ktoś należący do tajemnicy, sznur odwiązał i rzucił go pod mury.

O pół do dziewiątej zawiadowca wyspy Świętej Małgorzaty, spytał o więźnia, który miał zwyczaj wychodzić wczesnym rankiem. Lokaj Bazaina nie chciał niewolany, wejść do pokoju pana.

Nareszcie o dziewiątej kazano wyważyć drzwi i zastano klatkę opróżnioną.

nikających zarówno z osobistych stosunków ludności, jako też wszczynanych przez władze administracyjne, zupełnie słusznie widzą oni w tej roli możność wywierania dowolnego oddziaływania na ludność i żadna kontrola ich czynności prawnej nie jest w mocy temu przeszkodzić. Nie zdoła również usunąć tego wrażenia, jakie sprawia ogólny charakter ich działalności, niedający się określić, lecz niezgodny z widokami rządu i szkodliwy w rezultacie, gdyż ludność wiejska, stojąc na nizkim stopniu rozwoju, potrzebująca jeszcze kierownictwa w życiu obywatelskiem, przyzwyczaja się do myśli, że kierownictwo to należy nie do władzy rządowej, administracyjnej, lecz wybieralnej sądowej. Takie położenie wyraźniej jeszcze wykazuje dwa fakty: 1) pomimo wielkiej liczby kandydatów przy wyborach, w trzeciej części zasiadają sędziowie nie z wyboru, lecz mianowani z urzędu; 2) przy wyborach na sędziów i ławników ludność coraz częściej oświadcza się za mianowanymi, a często zdarzają się wypadki stanowczej odmowy głosowania na własnych kandydatów, ponieważ sędziowie mianowani z urzędu dają pewniejszą rękojmię szybkiego załatwiania spraw i sprawiedliwego wyrokowania. Wynika to stąd, że kandydaci rządowi, nie pozostając w stosunkach z ludnością miejscową i nie oddając się zajęciom pobocznym, mogą więcej czasu poświęcić służbie i utrzymać swą niezależność. Przy nich też znika ujemny wpływ pisarzów. Ławnicy nie mają żadnego znaczenia w sądach gminnych. W znacznej większości wypadków odgrywają tylko rolę bierną. Wobec powyższych faktów należy się zastanowić: czy nie nadszedł właściwy czas do zniesienia ustroju kolegialnego i wprowadzenia ogólnej zasady, przyjętej w Cesarstwie, aby wszystkie bez wyjątku sprawy nietylko ludności miejskiej, lecz i wiejskiej oddawać pod rozpoznawanie władzy jednoosobowej, tj. sędziów pokoju mianowanych z urzędu? Zamiana ta nie znajdzie również przeszkód i pod względem finansowym, szczególnie wobec porozumienia się odnośnych ministrów co do ustanowienia podatku dodatkowego do zakładów przemysłowych i świadectw na prawo handlu z przeznaczeniem tego funduszu na utrzymanie sądów miejscowych. Gdyby zaś fundusz ten nie wystarczał, pensye sędziów gminnych możnaby powiększyć, zmniejszając ilość okręgów sądowych; obecnie bowiem na każdy sąd gminny wypada przeciętnie 1,130 spraw, tj. mniej, aniżeli wynosi norma dla sędziów pokoju (1,200—1,300 spraw rocznie). Wreszcie — mówi na końcu okólnik — gdyby ministeryum sprawiedliwości znalazło i w tym wypadku środki niewystarczającymi, to lepiej podnieść opłatę z majątków nieruchomych, niżeli przedłużać istnienie sędziów gminnych i w ten sposób oddalać chwilę stopniowego zlania Królestwa Polskiego z Cesarstwem.

Jak widzimy, projekt powyższy jest jednostronny; pomija to, że samorząd gminny w Królestwie Polskiem otrzymał sąd własny na równi z gminą ruską. Zastosowanie więc w całej rozciągłości tego projektu skrępuje samorząd i zmniejszy w znacznym stopniu przywileje nadane ludowi tutejszemu ukazem z d. 2 marca 1864 r.

Prezesi zjazdów w Królestwie Polskiem otrzymali zapytanie w sprawie zastąpienia sędziów wybieralnych przez mianowanych z urzędu i — według *Gazety lubelskiej* — większość prezesów oświadczyła się za utrzymaniem dotychczasowego stanu rzeczy, tj. za wybieralnością, a zatem większość ta nie podziela zapatrywania się starszego prezesa Izby sądowej warszawskiej. Przy tej sposobności należy zwrócić uwagę na niektóre środki ulepszenia, niezbędne w organizacyi sądów gminnych, podane przez p. Zdzisława Piaseckiego w organie lubelskim (nr. 179): Wyznaczyć wszystkim sędziom wybieralnym pensyę, dać im prawa i przywileje służby państwowej na równi z sędziami pokoju. (Obecnie tylko ci pobierają dodatki do płacy, którzy po dwóch trzechleciach znowu zostali powołani na tę godność). Dotychczas sądy gminne posiadają bardzo skromne fundusze. Tymczasem na każdą taką instytucyę należy liczyć co najmniej 3,000 rs. (pensya dla sędziego 1,200 rs., dla trzech ławników 800, inne wydatki 1,000). Źródłem na pokrycie tych wydatków mógłby być *osobisty* podatek, nałożony na wszystkich mieszkańców gmin, a nie z ilości ziemi, jak dotychczas, gdyż najwięcej korzystają z sądów mieszkańcy osad. Należałoby także zwiększyć wymagania pod względem uzdolnienia sędziów gminnych i ławników, gdyż dotąd zajmują te stanowiska ludzie często nieposiadający nawet elementarnej wiedzy. Dlatego pożądanem byłoby uchylenie uwagi do art. 10 postanowienia z 19 lutego 1875 r., otwierającego przystęp do godności sędziego i ławników, wójtom i ławnikom sądów gminnych, organizowanych przed reformą z r. 1876. Ludzie tacy ledwie umieją sylabizować i kłaść podpisy koszlawe na wyrokach. Z podniesieniem tych wymagań należałoby zniżyć miarę majątkową i dozwolić na obieralność właścicieli nietylko w gminie, lecz i w powiecie mieszkających. Wreszcie co do porządku wewnętrznego, trzeba przestrzegać, aby listy układane były prawidłowo, a wybory odbywały się prawnie. Do tego w sprawdzaniu prawidłowości i zupełności list osób powinni przyjąć udział: prezes zjazdu, lub w jego zastępstwie dodatkowy sędzia pokoju i towarzysz prokuratora.

Z. P.

Z NIEMIEC.

Monachium, w listopadzie.

Zdanie prostaka. — Wycieczka do ojczyzny „szlachciców." — Panowie szlachta. — Ojcowie z plebanij. — Bracia żydzi. — Trzy rodzaje dobroczyńców ludu. — *Czas* jako ogólny przedstawiciel polaków.— Skandale na Zachodzie.

Pamiętam, trzy lata temu, w drodze do Styryi, zabrałem znajomość z pewnym prusakiem, który zmierzał do Reichenau dla wzięcia udziału w budowie olbrzymiego zamku letniego Rotszyldów. Człek przy swym dyplomie architekta był prosty i nawet ciężko poruszający się język musiał raz po raz rozwiązywać potężnym łykiem żytniówki, której spora butla wciąż stała pod ławką. Jedno zdanie jego zastanowiło mię zdrowym swym rozsądkiem.

— Jakże wy możecie żądać, byśmy was kochali i szanowali, kiedy my was nie znamy. Zarzuty niemców odpieracie u siebie w domu w niezrozumiałej dla Europy mowie i całkiem zbytecznie psujecie czas i atlas. Piszcie swe obrony tak, byśmy je czytać mogli i nie ubierajcie je w formy powieściowych alegoryj, a może niejedno uprzedzenie da się rozproszyć.

Pani Bazaine zaś, chcąc wykonać powzięty zamiar, znalazła człowieka, któremu niegdyś mąż oddał ważną przysługę. Trafiła na wdzięczne serce i zdobyła sobie sprzymierzeńca zarówno energicznego, jak gotowego do poświęceń. Ułożyli wszystkie szczegóły; potem udała się do Genui pod przybranem nazwiskiem i wynajęła, niby w celu zrobienia wycieczki do Neapolu, maleńki statek włoski, za tysiąc franków dziennie, mniej więcej na tydzień.

Statek ruszył w drogę, ale zaledwie wypłynął na pełne morze, kiedy nagle podróżniczka zmieniła postanowienie i spytała kapitana, czyby nie zechciał zawinąć do Cannes w celu zabrania jej bratowej. Marynarz chętnie się na to zgodził i w niedzielę wieczorem zarzucił kotwicę w zatoce Juan.

Pani Bazaine wysiadła na ląd, zalecając, ażeby statek nie oddalał się. Ów należący do spisku czekał na nią z łodzią przy Kroazecie i wkrótce przebyli przestrzeń dzielącą ich od Świętej Małgorzaty. Znalazła męża między skałami, z twarzą poranioną, rękami zakrwawionemi, w odzieniu poszarpanem. Ponieważ morze było wzburzone, łódź do brzegu dobić nie mogła, żeby się więc do niej dostać, marszałek musiał wejść w wodę po szyję.

Kiedy się dostali do statku, pani Bazaine oświadczyła kapitanowi, że bratowa jej jest słaba i jechać z nią nie może, a wskazując na marszałka dodała:

— Nie mając swego służącego, wziąłem z sobą jej lokaja. Ten niezdara spadł ze skały i patrz pan co z sobą zrobił. Proszę, zechciej go pomieścić razem ze służbą okrętową i daj mu rzeczy potrzebne do przebrania się i owiązania ran.

Bazaine udał się na spód okrętu. Nazajutrz wypłynięto na pełne morze, ale pani Bazaine znów zmieniła zamiar, udając chorą i kazała zawinąć do Genui.

Wiadomość o ucieczce już się po mieście rozeszła i tłumy pospólstwa zebrały się, gwiżdżąc pod oknami hotelu. Tłum stawał się tak dalece natarczywym, że właściciel przerażony wypuścił podróżnych tylnemi drzwiami.

Powtarzam to opowiadanie, jak mi je podano.

Zbliżamy się do eskadry, której ciężkie pancerniki wyglądają jak wieżyce, zbudowane na pełnem morzu.

Zwiedziłem Courbeta, jako najdoskonalszy typ naszej marynarki.

Nic nie może dać doskonalszego wyobrażenia o pracy ludzkiej, pracy niesłychanej a drobiazgowej, nad te olbrzymie twierdze żelazne, unoszące się na falach wodnych a mieszczące całą armię żołnierzy, cały arsenał broni i armat, tych istnych potworów wojennych. Pływające te masy, złożone z drobnych cząstek spojonych, przylutowanych, skutych, są świadectwem zarówno geniuszu, jak niemocy i niesłychanego barbarzyństwa tej rasy, tak czynnej a tak słabej, która zużywa swe siły na tworzenie machin dla wyniszczenia siebie samej na wojnie.

Sam ten wyraz: wojna przeraża mię, jak gdybym usłyszał o średniowiecznych czarach, inkwizycyi, o jakiejś rzeczy oddalonej, przepadłej, wstrętnej, potwornej, przeciwnej naturze.

Kiedy mowa o ludożercach, uśmiechamy się, z dumą wysławiając naszą wyższość nad tymi dzikimi. A kto są właściwie prawdziwi dzicy? Czy ci, co się biją, aby zjeść zwyciężonych, czy ci, co się biją, jedynie tylko dla przyjemności zabijania?

Biedni szeregowcy, którzy się ot tam, nad brzegiem morza musztrują, są przeznaczeni na śmierć, jak stado owiec prowadzonych na zarznięcie, padną na ziemię z głowami rozpłatanemi szablą, lub piersiami przeszytemi kulą, a wszystko to ludzie młodzi, którzyby mogli pracować i być użytecznymi. Ich ojcowie są starzy i biedni; matki, które ich kochały i ubóstwiały, jak tylko matki ubóstwiać umieją, za kilka miesięcy, lub za rok może dowiedzą się, że ich synowie, dzieci, dorosłe dzieci, wychowane z takim trudem, takim kosztem, z taką miłością, zostały rzucone do dołu jak psy zdechłe, bo kula armatnia rozszarpała ich, a cały oddział kawaleryi, przeszedłszy po nich, rozmiażdżył i stratował. Dlaczego zabito ich chłopaków, ich pięknych chłopaków, jedyną ich nadzieję, ich dumę, ich życie? Dlaczego?

(D. n.)

Kto złudzeń nie lubi, z trudnością uwierzy w ten środek. Nie przez sceptycyzm jednakże, a dla źle pojętego patryotyzmu i dobrze pojętego lenistwa nikt go dotąd nie próbował. Jeżeli nie w najbliższych promieniach aureoli, która otacza trzy włoski ks. Bismarka, to nieco dalej możeby taki głos nie przebrzmiał, jak na puszczy.

Szykany Franzosa i Sacher-Masocha nadzwyczaj prostą i łatwą drogą dostają się do serc i umysłów germańskich. W romansach francuskich od pewnego czasu typy oszustów i zbrodniarzów mają nazwiska zakończone na „ski," a imiona na „slaus." Polacy oburzają się na to i perzą — ale na tem koniec. *Qui tacet consentire videtur.* Dokąd będą swem milczeniem pracować nad utrzymaniem tych haniebnych pozorów?

Nie wiadomo na razie, do jakiego rzędu, paszkwilów czy obron, należy wyszła przed kilku miesiącami broszura p. t. *Ojczyzna szlachciców*, której autor bezimienny podaje się za galicyanina. Mnóstwo anegdot całkiem w rodzaju Krapulińskiego i Waszlapskiego przeplata tę wędrówkę po kraju głodomorów i gdyby je wziąć oddzielnie, wypadłaby wiązanka kwiatów, dla naszego oka niezbyt miłych, a dla nosa niezbyt wonnych, ale szczęściem prócz niej jest w książce jakaś utajona dla Galicyi sympatya, jakieś „ciepło," jak się u nas wyrażają stare tryki dziennikarskie, która każe widzieć w anonymie raczej przyjaciela, niż szyderczego wroga. Kto on zacz? Swój, czy obcy — trudno dociec. Niemców kokietuje i schlebia im; cieszy się, że pod berłem Habsburgów krakowiacy czynią duże postępy w języku niemieckim, ale chwilami robi wrażenie, jak gdyby tym zwrotem dyplomatycznym pragnął znaleźć jedynie posłuch u nich i pod płaszczykiem ironii i drwin wydobyć na jaw niejedno, co polakom wysoki zaszczyt przynosi.

Gdyby nie obawa przypisania „galicyaninowi" zbyt wielkiego rozumu politycznego i talentu pisarskiego, możnaby sądzić, że wytknął on swej broszurze cel dwojaki: zjednać jej bohaterom drubów i pobłażanie, a im samym wypowiedzieć parę słów gorzkiej, jak chinowe proszki na gorączkę, prawdy.

„Dukata za — jedną pluskwę? nie — za jedno kłamstwo!" — woła w przedmowie. No i przyznać trzeba, że wzięty na ścisłą krytykę, zapłaciłby ich trochę, ale niewiele. Że w ziemi stańczyków porządny człowiek zaczyna się dopiero od „obywatela" i na tym punkcie społeczeństwo jest zwaryowane — to chyba tak bardzo nie urąga rzeczywistości; że w tej dziwnej nazwie, której nie przetłomaczy ani *citoyen* francuzów, ani *Bürger* niemców, tkwi wstrętna resztka ograniczonej kastowości, pomimo iż każda szuja, będąca spanoszonym kelnerem, stręczycielem lub lichwiarzem, kupiwszy parę włók ziemi, pod obywatela się podszywa — to także nie ulega wątpliwości, a i temu nikt, mający jako tako zdrowe zmysły, nie zaprzeczy, że mizerny urzędniczek, co w wytartym fraczku ślepi swe oczy za 20 florenów na miesiąc, z góry spogląda na wykształconego ślusarza lub szewca i za nic w świecie w kawiarni lub bawaryi nie usiądzie przy nim.

„Galicyanin" oddaje zresztą sprawiedliwość szlachcie, iż choć bywa niekiedy ciemna, jak tabaka w rogu, często też posiada wysokie, wielkoświatowe wykształcenie, wytworne obejście i oczytanie; podnosi jej łatwość uczenia się obcych języków, zwłaszcza francuzczyzny, która w pobliżu plebsu stale zastępuje u dam mowę ojczystą... Najgorzej jednak chwali ich za wielkie przywiązanie do tronu.

Czy to nie ironia czasem? Czy nawet austryak, patrząc na to prawdziwie bezprzykładne „przywiązanie" — nie myśli o ewangelicznej zasadzie policzka lub o przysłowiu, iż każde cielę znajdzie swego rzeźnika?

Z patryotyzmem państwowym „szlachciców" ma chodzić w parzę — narodowy, który zacieka się aż tak daleko, że pielęgnuje dotąd najniedorzeczniejsze mrzonki w rodzaju np. halucynacyi pewnego ziemianina, który dostawszy do zawinięcia czegoś gazetę z r. 1863, wziął ją za świeżą i by wezwaniu jej być posłusznym, uzbrojony od stóp do głów, z pachołkiem wyruszył w pole.

Za ten dowcipny koncept nieboszczyka Lama, szanowny autor powinienby zapłacić grzywny przynajmniej z dziesięć dukatów, byleby nie w srebrze austryackiem, a nadto drugie tyle dać czytelnikowi za rozwiązanie dziwnej zagadki: jak można czołgać się u podnóżka tronu, a jednocześnie nie pozwalać zdzierać z siebie skóry? Takiej podwójnej buchalteryi nie prowadzi nawet tak znakomity rachmistrz, jak minister Dunajewski...

Ale natomiast „galicyanin" zasłużył na dukata — przy dzisiejszym kursie to i tak wiele — za swe uwagi o chłopstwie polskiem. Trzy potęgi miażdżą nielitośnie lud wiejski: dwór, probostwo i karczma. Osaczają go jak gracze w Monte-Carlo bank — a rola, choć jęczy i stęka, daje z siebie wyduszać coraz więcej i więcej i jakoś zbankrutować nie chce. Nic dziwnego, że chłop jak był, tak i jest szorstką grudą, którą rozbić można i rozsypać, ale nic porządnego ulepić. Nie ufa nikomu, najmniej może księdzu, a już najwięcej żydowi, bo ten sprytnie z karczmy swej zrobił resursę, po za którą gospodarz ani bawić się nie potrafi, ani o interesach gadać, ani rozmawiać z kumem. Ksiądz oplątał go siecią podatków za wszystkie najdrobniejsze usługi kościelne i zręcznie obchodzi taksę urzędową. Biada parobkowi, jeżeli np. chce poślubić dziewuchę z drugiej parafii i tam zamieszkać. Musi wtedy płacić i za ślub wzięty u innego proboszcza i za wszystkie stracone dla „dobrodzieja" korzyści, jako to: chrzciny przyszłych dzieci, śmierci i pogrzeby przyszłych wnuków itd. Jest to pewnego rodzaju skup wieczystego czynszu, tylko że, niestety, nieprzewidziany przez prawo.

Wobec tak dobroczynnych wpływów chłop galicyjski nie może być lepszym od innych: rozpajany i rozpróżniaczany przez żydów i święta, mnożące się w sposób prawdziwie groźny — nie daje tematu do hymnów pochwalnych.

O kim tu właściwie mowa — gotów kto zapytać. Czy o chacie, czy o plebanii. Sam dopprawdy nie wiem; splotły się one w miłosnym uścisku i wytworzyły znamienną grupę o wielu nogach, wielu rękach, wielu półgłówkach i jednej bardzo mądrej i przebiegłej głowie. Głowa ta, zazwyczaj poczciwie uśmiechnięta, dużo prawi o czystości, ale, według „Galicyanina," ma z nią daleko mniej do czynienia, niż koleżeńskie głowy z kościoła grecko-katolickiego, nie ślubujące wiecznego dziewictwa...

Maleńkie tu przyda się objaśnienie. Wogóle nie bierze on bynajmniej w obronę rusinów i nie radzi wcale ufać ich skargom na ucisk i prześladowania ze strony polaków.

Jakkolwiek Monachium, jako gród mającу w swem godle mnicha lub mniszkę (to wolę), dziwnie usposabia do gawędy o nich; przechodzę jednak do... żydów. Co prawda, nie na długo — nie przeto, by miał „Galicyanin" mniej złego do powiedzenia o nich, gdyż, przeciwnie, poświęca im ostatni, obszerny i „dzieło wieńczący" rozdział — lecz że to motyw strasznie świeży i wolę go ustąpić innym... Jakaś fatalność snadź zaciążyła nad współczesnem państwem bibuły, że jakąkolwiek książkę wziąć do rąk, wpada się wnet w błędne koło „kwestyi żydowskiej."

Autor broszury nie jest bezwzględnym antisemitą, przyznaje bowiem wybrańcom Jehowy, że są to „bądź co bądź ludzie." Możnaż żądać większej wspaniałomyślności?

Pomimo tak wysoki szczebel na drabinie zwierzęcej, żydzi galicyjscy zostali tu scharakteryzowani odpowiednio do swej zasługi i przekazani potomności jako sprawcy chlewowego kolorytu, cechującego niektóre dzielnice Krakowa i miasta prowincyonalne „Galicyi i Głodomoryi." Okropna nędza i okropne niechlujstwo wycisnęły swe piętno tak jasno, że się ono rzuca każdemu przybyszowi w oczy obrzydliwym szeregiem scen brudu i cuchnących łachmanów.

I stosunek ludności rdzennej do wyznawców Mojżesza odgadł autor i określił umiejętnie. Cierpią oni wiele, jako ofiarny kozioł nieszczęść i klęsk, ale z tem wszystkiem na dziką nienawiść utyskiwać nie mogą. Są potrzebni a niekiedy i za krzywdy swe wynagradzani sowicie, jak np. kreacyą Jankla w *Panu Tadeuszu*. Niewyczerpana jest ich pomysłowość w wynajdywaniu kruczków prawnych, którymi obchodzą przepisy ustawy, genialnym — dowcip, z jakim potrafią wyzyskać naiwnych, wyżlim — węch, z jakim wietrzą dla siebie interes.

Lecz rzućmy ten okręg nie tyle Dantejskiego, ile Dantyszkowego piekiełka i na epilog przeczytajmy kilka ogólnych uwag końcowych.

„Naród, który przed stu laty stracił z winy swych najlepszych" byt polityczny, miał już czas przekonać się, że jego szlachta grzęźnie w fatalnych swych tradycyach po dawnemu, jak gdyby nic nie zaszło — i stanąć na podwalinie współczesnej demokratyczno-postępowej i porzucić nabożne wznoszenie oczu ku szlachcie w oczekiwaniu od niej ratunku i pomocy. W ciągu lat stu panowie nie nauczyli się niczego i nie zapomnieli nic... Na zewnątrz są liberałami, a we wnętrzu swem każdy jest dojrzałym na udzielnego księcia."

„...Dzieło Szczepanowskiego wpadło jak bomba w wesoły wir karnawału; nie wierzono własnym oczom, gdy przeczytano zestawienia Galicyi z innymi krajami, znanymi z ubóstwa i znaleziono ją w liczbie *najbiedniejszych* i oto na ulicy, w restauracyi, w sali balowej, słychać było pytania: jestże to możebne, byśmy tak nędzni byli? Ale cyfrom niepodobna zaprzeczyć, ani upiększyć ich sofistyką; zimne i nagie stały one tam i wskazywały jednocześnie drogę, na którą wstąpić należy, ażeby wydobyć się z niedoli."

Sam widzisz, czytelniku, jaki duch wieje z książki bezimiennego spostrzegacza. Dlaczegoż więc tu i owdzie poszczuto go psami, obrzucono błotem i spokrewniono z Sacher-Masochem? Królestwo idyotyzmu jest bezmierne, jak nędza galicyjska i austryackie podatki... Prawda, jak to zachęcająco działa na tych ze swoich lub cudzoziemców, którzy by chcieli stworzyć przeciwwagę ewangelii Edwarda Hartmana, ale nie mogą zamykać dobrowolnie oczów na wszystko, co błaga o satyrę?

Sądzono widać ulubieńcom fortuny, z nad Peltwi, Warty i Wisły, że ich rzecznikiem śród obcych musi być zawsze ktoś, w gatunku *Czasu*. Dziwne szczęście ma ten „organ" stańczyków, że gdziekolwiek zebrała się jaka taka kolonia polska — echa z ziem rodzinnych przynosi jej policyjno-urzędowe pismo jezuickiej koteryi. Tu, nad Izarą zupełnie tak samo jak nad Dunajem, właściciel kawiarni lub restauracyi mniema, iż gość polski żyć nie może bez *Czasu*. Co za dogodzenie! Nie — raczej co za wygoda!...

W weselszych chwilach będę ci, czytelniku cierpliwy, przesyłał z ukłony z Poznania, Krakowa i Lwowa *via* Monachium. Ze wszystkich tych dzielnic można tu otrzymywać wieści dokładne, a przecież niepodobna odmówić sobie rozkoszy podzielenia się niemi. Nadeszła ciekawa doba, kiedy na-

wet człek, chronicznie chory na polityko-*wstręt* — bezwiednie wdziewa skórę polity-*komana*.

A przytem jakie bywają zabawne miny naszych braci z za kordonu. Jak naprzykład opluwał się niedawno *Czas* w bezsilnym gniewie na *Prawdę*, że śmiała podać parę wizerunków galicyjskich „mężów.“ Wyszły karykatury, choć nikt karykatur pewnie pisać nie chciał — stąd gromy oburzenia na autora i tygodnik. Te maszkary nie lubią zwierciadeł i gdyby mogły, rozbiłyby wszystkie na świecie.

Ale na naszym gruncie „sensacyi“ grubej się nie doznaje. Kto jej łaknie, niechaj zrobi przechadzkę po Zachodzie, a może zebrać zapas na parę miesięcy. Jak daleko sięgnąć pamięcią, nie było momentu, tak obfitującego w skandale na wielką miarę, jak teraźniejszy. Zabobonny mógłby uwierzyć, że zbliża się koniec świata; historyozof patrzy na nie, jak rzymski wojownik na czerwone znaki w przestworze nieba. Merowie gmin francuskich publicznie pomawiają sejm o łapownictwo — i nie następuje żadna odpowiedź, co jest także odpowiedzią. Gorzej nawet — sąd uniewinnia go i tem samem oszczerstwu daje sankcyę prawdy. Zbrodniarze, zabijający uwiedzione przez się dziewczęta, stają się bohaterami czułych melodramatów a w oczach *Figara* i Paryża awansują na męczenników. W zaułkach Londynu w biały dzień odrzynają kobietom piersi, a na wybrzeżach wschodniej Afryki idzie najwyborniej handel niewolnikami. Król Wirtemberski daje się tumanić i karotować angielskiemu „profesorowi“ spirytyzmu i magii i na sposób grecki uprawia... plastykę, w której podobno wdzięki Aspazyj nie odgrywają ważnej roli. Ministrowie i własny naród nie widzą tego, aż dziennik pobratymczego kraju wzywać musi „konsulów“ do baczności.

To zaledwie cząstka litanii. Ale czy i z niej nie wypływa dobitnie, że ustrój Europy — jest chory?

Cezary Jellenta.

SPRAWY EKONOMICZNE.

DZIAŁALNOŚĆ INSPEKCYI FABRYCZNEJ.

Ukazanie się prawodawstwa fabrycznego, ograniczającego czas i warunki pracy w większych zakładach przemysłowych, stanowi istotną epokę w dziejach klasy robotniczej. Przyznano otwarcie bezsilność pojedynczych a prywatnych prób dla położenia tamy nadmiernemu przedłużaniu dnia roboczego, zatrudnianiu dzieci oraz zmuszaniu robotników do pracowania w jaknajgorszych warunkach zdrowotnych. Zresztą, jeżeli rozpatrywać będziemy historyę prawodawstwa fabrycznego w Anglii, ujrzymy, że zjawia się ono tutaj, jako wynik długoletniej walki klasowej. Jeden paragraf ustawy wywalczano po drugim i sama ustawa jest jedynie zlepkiem z takich częściowych ustępstw dla klasy robotniczej. Tymczasem na lądzie prawodawstwo rozwija się już po części niezależnie od tego rodzaju czynników. Same władze, zaniepokojone karłowaceniem ludności miejskiej i upadkiem siły rekruckiej państwa, a zachęcone przykładem W. Brytanii, dają pierwszą podnietę do wypracowania odpowiednich ustaw opiekuńczych. Z prawodawstwem fabrycznem spotykamy się obecnie prawie we wszystkich krajach Europy — w jednych z bardziej wykończonem, w drugich — z zaledwie początkującem. Przytem nie należy zapominać, iż ta instytucya dopiero stawia pierwsze kroki i że, prędzej lub później, ażeby istotnie pożądane wydała owoce, winna rozszerzyć się po za zakres krajów pojedynczych. Dlaczego — zaraz wyjaśnimy. W r. 1863 szesnaście wielkich zakładów garncarskich Anglii zwróciło się do rządu z prośbą o przeprowadzenie przymusowe pewnych ograniczeń pracy w tym zawodzie. Okazało się bowiem, że wszelkie tego rodzaju zamiary, jeżeli zostaną uskutecznione w kilku fabrykach i warsztatach, spowodują tylko bankructwo firm, rządzących się zachcianką filautropijną — ulżenia robotnikom. Podobnych faktów Anglia dostarcza jeszcze więcej. Z wszelkich prób prywatnych w tym kierunku otrzymano jedno: utracenie zdolności współzawodniczenia z zakładami, które nie wprowadzały ulg żadnych. Coś podobnego widzimy, rozumie się, na większą skalę, w stosunkach międzynarodowych. Granice polityczne i narodowościowe mogą dzielić ludy cywilizowane, lecz w żaden sposób nie mogą zniweczyć jedności ekonomicznej, wzrastającej pomiędzy nimi z dniem każdym. Cały świat cywilizowany staje się coraz widoczniej jednolitym organizmem wymienno-przemysłowym, z wspólnemi tętnami finansowemi — gieldami, ze wspólnem sercem—rynkiem wszechświatowym. Powszechność chociażby obecnego przesilenia przemysłowego może służyć za dowód tej wzajemnej zależności ekonomicznej. I oto kraj pojedynczy, w którym poprowadzono dalej prawodawstwo fabryczne, względem innego, w którym pozostawiono jeszcze szerokie pole dowolności indywidualnej, zajmuje takie same stanowisko, w jakiem znaleźli się filantropi przemysłowi z wymienionych zakładów angielskich. Ustawa, ograniczająca pracę w fabrykach, pozbawia wytwórców krajowych zdolności konkurencyjnych na rynku wszechświatowym. Prawodawstwo fabryczne winno tedy z konieczności stać się międzynarodowem. Zrozumiano to już na Zachodzie Europy. Rada związkowa Szwajcaryi zwróciła się nawet przed kilku laty z podobnym projektem do rządów innych krajów, lecz niechętna postawa, którą przyjęły Niemcy, odstręczyła ją od starań dalszych.

Prawodawstwo fabryczne w Rosyi istnieje zaledwie od lat kilku. Wywołało ono już istotną epopeję — w fabrycznym okręgu moskiewskim. Inspektor tamtejszy, znany zresztą z nazwiska czytelnikom *Prawdy*, prof. Janżuł okazał się na całej wysokości włożonych nań obowiązków. Przemysłowcy moskiewscy, dotknięci w najczulszej strunie — dowolnem szafowaniu sił roboczych, rozpoczęli przeciw Janżułowi prawdziwą krucyatę, nie gardząc żadnymi środkami. Natomiast do r. 1886 w naszym okręgu fabrycznym widzimy zupełną nieobecność czegoś podobnego. P. Blumenfeld znajdował wszystko w jak najlepszym porządku ku wielkiemu prawdopodobnie zadowoleniu przemysłowców. Stosunki takie uległy zmianie z objęciem tej roli przez p. Swiatłowskiego. Że ustawa fabryczna przestała być od tego czasu martwą literą, możemy o tem wnioskować z częstych spraw, przekazywanych przez inspekcyę sądom pokoju, a dotyczących wykroczeń przeciw prawodawstwu. Inspektor z swym pomocnikiem w przeciągu trzech ostatnich miesięcy r. 1886 i w r. 1887, zwiedzili osobiście 1,216 zakładów, przekonywając się naocznie, iż pracodawcy zmuszali dzieci pracować po dawnemu, jak gdyby nie było żadnego zakazu w tej mierze. Obecnie ukazują się wyniki tych objazdów w druku. S. Swiatłowskij zasypał nas w tych dniach rzeczywistą powodzią szczegółów statystycznych. O jednej pracy, poświęconej życiu się naszego robotnika, zdawaliśmy niedawno sprawę. Teraz przed nami leży nowa broszura o nieszczęśliwych wypadkach w fabrykach, oraz szereg artykułów, rozpatrujących położenie krajowej klasy robotniczej, w miejscowem piśmie półurzędowem — w *Warsz. Dniewniku*. Korzystając ze świeżego wrażenia, sprawionego przez przeszłotygodniową katastrofę w fabryce „Wulkan,“ zajmiemy się tu rozpatrzeniem częstości i przyczyn nieszczęśliwych wypadków w życiu przemysłowem kraju naszego. Zebrany materyał pochodzi z 55 największych zakładów za okres lat 1886—1887. P. S. opierał się jedynie na szczegółach, podanych przez lekarzy, uważając zeznania dyrektorów i felczerów za nieodpowiednie *).

Otóż na liczbę 34,218 robotników, znajdujących zajęcie w powyżej wymienionych zakładach, przypadło w ciągu lat dwu 2,086 mniej lub więcej dotkliwych nieszczęść, czyli ilość wypadków wynosi przecięciowo rocznie 3,04%. Zresztą różne zawody niejednakowo się przedstawiają. Wśród przemysłu, obrabiającego metale, powyższa cyfra podnosi się do 5,8%; w zawodzie garbarskim spada już do 4,16%, tkacko-przędzarskim — do 3,7%. Przytem i ciężkość wypadków ulega znacznym zmianom, stosownie do tego, z jakim przemysłem mamy do czynienia. Mineralnemu i papierniom należy się w tej mierze smutne przodownictwo, gdyż z pośród wypadków ostatnim 20% wynoszą śmiertelne, 40% zaś bardzo ciężkie; w pierwszym — 21% śmiertelne i 15,7% bardzo ciężkie. Do bardzo ciężkich zalicza inspektor fabryczny wszystkie, które pozbawiają robotnika zdolności do pracy bądź zupełnie (utrata oczu, rąk, nóg, ręki i nogi), bądź w połowie (utrata ręki lub nogi); utracenie jakiegoś jednego oka lub dwóch palców uchodzi jeszcze za lekkie uszkodzenie. Następnie, jeśli rozpatrywać poszkodowane części, po otrąceniu 21,7%, których charakteru nie zdołano określić z powodu braku danych, okaże się, iż około 75% przypada na kończyny górne, 8% na dolne itd. Zresztą, rozmieszczenie procentowe uszkodzeń według ich charakteru zmienia się w różnych sferach przemysłu. Wreszcie, co do bezpośrednich sprawców nieszczęść, w 1,473 wypadkach inspekcya nie powzięła żadnej wiadomości; z pośród pozostałych 15,5% zawdzięczyć należy kołom zębatym; dalej idą części pośredniczące maszyny (tak zwane transmisye). Szczegółowszą statystykę nieszczęśliwych wypadków podaje autor dla zakładów Żyrardowskich, oraz jednego akcyjnego, zajmującego się wyrobami metalicznymi. Otóż w tym ostatnim pracuje 600 robotników, liczba zaś wszelkich wypadków wynosiła — 236! Innemi słowy: jedna trzecia część pracujących tu ludzi w ciągu dwuletniego okresu czasu odniosła jakieś uszkodzenia. A jednakże, o ile można sądzić ze słów p. S., zakład ten należy do troskliwiej utrzymywanych.

Rzućmy wszakże zasłonę na te dane, a rozejrzmy się natomiast w przyczynach nieszczęść. Zwykle winę zwala się na nieostrożność i lekkomyślność robotników. S. Kossuth w swej statystyce wypadków w zakładach żyradowskich 47% przypisuje właśnie tej przyczynie, 16%— przekroczeniu przepisów ostrożności — więc prawie temu samemu, 12% — przypadkowi (?) i zaledwie 2% — brakowi odpowiedniego ogrodzenia. Inspektor fabryczny słusznie zauważa, iż znaczenie „nieostrożności“ należałoby sprowadzić do minimum. Powołuje się on na dane statystyczne inspekcyi niemieckiej, która w jednym z okręgów znalazła np., iż 28.3% wypadków wynika z użycia przyrządów niedoskonałych pod względem techniczno-sanitarnym; 13.1% — z braku ogrodzeń, 11.9% z niezastosowania takowych, jakkolwiek istnieją na fabryce itd. W pracy p. S. znajdujemy rzeczywiście wymowne dowody „nieostrożności“ robotników. Wobec wypadku na fabryce „Wulkan“ zatrzymamy się nad wybuchami kotłów, ile że pochodzące stąd nieszczęścia śmiertelne stanowią aż 30% w odnośnej rubryce. Ze śledztwa, wywołanego przez katastrofę w jednej

---

*) W. W. Swiatłowskij: *Materiały po woprosu o trawmatizmie na naszych fabrikach i zawodach.* Petersburg.

gorzelni konińskiego powiatu, okazało się, iż maszynistą był tu prosty ślusarz bez najmniejszego wykształcenia fachowego i wiadomości teoretycznych, który źle ustawił kocioł i bezpośrednio spowodował nieszczęście; nadto głównym dozorcą był młody człowiek, pomocnik gorzelanego, któremu zbywało już nietylko na wiedzy teoretycznej, lecz wprost na doświadczeniu praktycznem. W rezultacie dwóch ludzi poniosło śmierć natychmiastową, trzech zmarło później, kilku zostało porannionymi... Dochodzenie dowiodło, iż wśród 63 gorzelni gubernii kaliskiej zaledwie na 10 można spotkać gorzelanych, jako tako znających się na prowadzeniu maszyn parowych; zwykle los wielu ludzi zawisł od prostego, niewykształconego chłopa-robotnika, postawionego u maszyny! P. S. dodaje, iż nie lepiej rzeczy stoją w innych guberniach.. Również i pozostałe nieszczęśliwe wypadki pochodzą zwykle z podobnej „lekkomyślności.“ Nieszczęścia, sprawiane przez koła zębate, wynikają już z niezbyt obcisłego ubrania, już z wkładania pasa transmisyjnego bez powstrzymania przyrządów poruszających. To znowu katastrofy są skutkiem tego, iż zamiata się warsztat podczas ruchu maszyny, iż braknie dostatecznego oświetlenia, miejsca, schodów. Zwłaszcza zasługuje na uwagę zupełne niedbalstwo w przewidywaniu pożaru. Oto opis jednej cukrowni: zajmuje ona stary 4-piętrowy dom, nieposiadający nietylko schodów żelaznych lub kamiennych, lecz nawet drewnianych w dobrym stanie; nadto jest ich tak mało i takześrodkowane, iż często praca odbywa się w odległości 20 sążni od wyjścia. Izby nizkie i tak zawalone, iż niepodobna dostać się do okna. W razie pożaru trudno przedstawić sobie rozmiary nieszczęścia... Tymczasem wszystkie prawie zakłady Łodzi ukazują nie inny widok. Na wszelkie uwagi przemysłowiec odpowiada, iż prawo nie przepisuje mu żadnych ulepszeń... Inspektor fabryczny wynosi charakterystyczne przekonanie ze swej działalności, mianowicie, iż jeżeli jakaś połowa wypadków pochodzi z winy samych robotników, druga mogłaby zostać usuniętą zwiększeniem dozoru ze strony władz i wprowadzeniem odpowiednich środków zapobiegawczych, np. obcisłego ubrania, różnych ogrodzeń itd. Przytem wypowiada zdanie, iż obecne prawodawstwo fabryczne wymaga dalszych uzupełnień sanitarnych co do urządzenia warsztatów, wody do picia, nawet pokarmu, wreszcie pod względem wynagrodzenia za kalectwo. Mniemamy, że ten punkt ostatni okazałby się jaknajskuteczniejszym środkiem do nauczenia przedsiębiorców większej oględności w postępowaniu ze zdrowiem i życiem robotników.

Zatrzymamy się jeszcze nad jedną kwestyą, poruszoną przez inspektora fabrycznego — staraniami, łożonemi przez naszych przemysłowców dla zapewnienia utrzymania poszkodowanemu. W tej mierze zakłady akcyjne Żyrardowskie i Scheiblera poszły najdalej. Przy ostatnim istnieje np. rodzaj przytułku i emerytury dla inwalidów pracy. Zwykle jednak zabezpiecza się robotników w odpowiednich towarzystwach — blizko w 20 zakładach uczyniono to, dla braku istnienia odpowiednich instytucyj rosyjskich, w stowarzyszeniach zagranicznych. Podobne Towarzystwo powstało dopiero niedawno p. n. „Rosya,“ wydające robotnikowi ubezpieczonej fabryki, w razie nieszczęścia, chociażby z jego własnej winy, wsparcie w wysokości dziennego zarobku, wziętego 500—1000 razy. Cały wydatek ubezpieczenia w zakładzie, zatrudniającym 300 robotników, wynosi 3 rs. od głowy. Nie możemy znaleźć dostatecznie silnych słów dla przekonania opinii publicznej o wielkiem znaczeniu i obowiązkach pracodawcy do zabezpieczania pracujących u niego robotników. Kto żyje z pracy innych, mógłby wyłożyć jakieś trzy ruble dla zabezpieczenia bytu najmity na wypadek nieszczęścia.

K.

BADANIA NAUKOWE.

INSTYTUT PASTEURA.

Paryż, 14 listopada.

Paryż święcił dziś wielką uroczystość na którą zebrali się przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa oraz zgromadziły się najwybitniejsze osobistości ze świata naukowego, literackiego, artystycznego itd. O godzinie pierwszej z południa bowiem nastąpiło otwarcie od dawna oczekiwanego „Instytutu Pasteura.“

Jak wiadomo, od czasu pierwszych szczepień wścieklizny ochronnej powstała myśl, ażeby utworzyć osobną instytucyę, mającą na celu oprócz szczepień i prac z niemi związanych—naukowe badania na polu mikrobiologii ogólnej i szczegółowej, tej nowej a tyle obiecującej gałęzi wiedzy, przez Pasteura po raz pierwszy jasno i dobitnie przedstawionej światu. W ciągu lat blizko czterech zebrała się pokaźna suma 2,586,000 franków, złożona z darów wspaniałych i groszów wdowich. Pomiędzy największemi odznaczają się ofiary: Cesarza Aleksandra III—100,000 rubli, ces. Don Pedra brazylijskiego, Alfonsa Rotszylda, P. Boucicaulta i inne. Znajdujemy tutaj również datki 20 centymowe, a spis wszystkich mieści się w dwóch ogromnych tomach, grubości razem około 30 centymetrów, przedstawionych na dzisiejszem zebraniu przez p. Christophle'a, skarbnika „Instytutu Pasteura.“

Zajął on przestrzeń 11,000 metrów kwadratowych przy ul. Dutot w blizkości Boulevard vaugirard; składa się z dużego, trzy piętrowego gmachu z przybudowaniami, mieszczącemi na jednej stronie mieszkania dla służby, na drugiej zaś—obszerne ogrodzenie, zapełnione klatkami i stajniami dla zwierząt doświadczalnych. Gmach główny zawiera pracownie, w których będą mieć zajęcie prof. Grancher, Duclaux, Roux, Chamberland, Miecznikow, Gamaleya i ich pomocnicy. Tu znajdują się również mieszkania: Pasteura, jako dyrektora, oraz laborantów, sala biblioteki i inne.

Całość robi wrażenie zakładu przemysłowego lub fabryki, tembardziej, że z boku widnieje wysoki komin maszyny, służącej do ogrzewania zapomocą pary wszystkich zabudowań. Ścieżki i klomby wysadzone roślinami dopełniają całości, która wogóle przedstawia się bardzo okazale.

Dzisiejszemu otwarciu wobec licznie zebranych słuchaczów przewodniczył prezydent Rzeczypospolitej, w towarzystwie członków Izb i Senatu, ministrów: spraw wewnętrznych, wojny, finansów, członków Akademii umiejętności, Akademii lekarskiej, Uniwersytetu i innych — łącznie z zaproszonymi około 800 osób.

Posiedzenie zagaił sekretarz stały Akademii umiejętności J. Bertrand wspomnieniem zasług, jakie Pasteur dla nauki i ludzkości dotąd położył od czasu pierwszych prac nad fermentacyą. Krótkie a jędrne przemówienie nagrodzonem zostało żywymi oklaskami.

Po nim prof. Grancher przedstawił treściwie historyę i wyniki dotychczasowe od pierwszego szczepienia wykonanego w roku 1885 na Meisterze. Przeciwnicy metody licznie wystąpili przeciwko niej i coraz uporczywiej zaczęli dowodzić jej szkodliwości. Wreszcie odbyła się żywa wymiana zdań w Paryskiej Akademii lekarskiej, wywołana przez raport komisyi angielskiej, która po roku doświadczeń doszła do przekonania, że „Pasteur wynalazł rzeczywiście nową metodę“ i skuteczną. Mowa Charcota, zachęcająca Pasteura do dalszych poszukiwań w tym kierunku, była najlepszem odparciem bezzasadnych zarzutów.

Dalej prof. Grancher rozpatrzył przyczyny tak nieprzyjaznego przyjęcia ze strony lekarzy. Wiadomo, powiada, że Pasteur jest nowatorem, który nie wprowadza reform zwolna, ale je narzuca odrazu. Dość przypomnieć odkrycia zarazków chorób zakaźnych, po których, jak gdyby nie dosyć ich było dla jednego człowieka, poszły kolejno metody osłabiania tych zarazków i wreszcie szczepienia ochronnego. To też podczas gdy jedni przeciwnicy jeszcze nie zamilkli, już rośli drudzy.

Medycyna tradycyjna nie łatwo dała się pogodzić z myślą, że jad już po przedostaniu się do ustroju może być samodzielnie przezwyciężony przez siłę przyzwyczajenia ustroju. To też gdy Pasteur podał metodę szczepienia wścieklizny *po* ukąszeniu, wydało się to lekarzom niedorzecznością nie do pojęcia. Trzeba jednak przyznać, że jakkolwiek medycyna tradycyjna silnie się broniła przed przyjęciem metody nowej, znaleźli się lekarze dawnej szkoły, jak Vulpian, który pierwszy zachęcił Pasteura do jej stosowania.

Obecnie około 20 instytutów szczepiennych funkcyonuje pomyślnie w różnych stronach świata. Zauważyć należy, że metoda doskonali się nieustannie—a dowodem najlepszym jest stopniowe zmiejszenie się śmiertelności: pierwszego roku w Paryżu—1.34%, 1887 — 1.12%, 1888 — 0.77%; w Odesie 1886 — 5.83%, 1888 — 0.80; w Warszawie 1886 — 1%, obecnie spadła do 0, w ciągu bowiem przeszło roku nie było ani jednego wypadku śmierci z pomiędzy 370 szczepionych.

Wobec takich wyników najbardziej sceptycznie usposobiony musi przyznać wartość metodzie Pasteura.

Nastąpiło szczegółowe wyliczenie danych z rozmaitych pracowni, z których najpomyślniej przedstawia się warszawska z najmniejszą cyfrą śmiertelności, prawdopodobnie zależnych od pewnych zmian wprowadzonych stopniowo w ciągu ostatniego półtora roku.

Po przemówieniu prof. Granchera, również nagrodzonem rzęsistymi oklaskami, odezwał się Christophle, skarbnik, od którego dowiedzieliśmy się, że z ogólnej sumy 2,586,000 franków wydatkowano 1,583,000 na zakupienie placu, wybudowanie gmachu, nabycie narzędzi i utrzymanie pracowni wciągu pierwszych lat 3.

Z kolei miał głos zabrać Pasteur. Wzruszenie jednak nie pozwoliło mu wyrzec ani słowa, tembardziej, że od czasu paraliżu połowicznego mowa jego jest utrudnioną. To też słowa jego odczytał syn. Były one krótkie, odznaczały się prostotą, ale nie pozbawione pewnych domieszek politycznych z duchem czasu zgodnych a niezbyt z powagą miejsca i czasu licujących.

W końcu prezydent Rzeczypospolitej udzielił ordery legii honorowej w stopniu oficera prof. Duclaux i Grancherowi, a kawalera dr. Chautemesse.

N. K.

WYNALAZKI.

Melograf. Fizyk Carpentier zbudował przyrząd, utrwalający improwizacye muzyczne. Daje się on zastosować wyłącznie tylko do instrumentów, posiadających klawiaturę.

Melograf Carpentiera zachowuje ślady wszelkich ruchów klawiszy w czasie gry artysty. Jest to przyrząd niezależny od pianina, lecz pozostający w związku z klawiaturą za pośrednictwem wiązki drutów metalowych, z których każdy odpowiada jednemu klawiszowi. Przez te druty

przebiega prąd elektryczny, przelewający na papier każdą nutkę; posługuje do tego telegraf Morse'a. Melograf wypisuje atramentem tony na pasku papierowym. Przyrząd składa się z trzech części: *transmotora, motora* i *receptora.* Transmotor mieści się pod klawiszami klawiatury, ma kształt linii drewnianej, opatrzonej giętkiemi blaszkami, odpowiadającemi klawiszom; blaszki unoszą się i obniżają jednocześnie z klawiszami i wprowadzają w grę prąd, tem dłużej trwający, im klawisze przez dłuższy czas pozostają naciśnięte palcami.

Motor przeciąga bez przerwy i najregularniej pasek papierowy, na którym wypisują się nuty; jest on elektrycznym, poruszanym przez małe akumulatory. W tych ważną odgrywają rolę organy regulacyjne, tak urządzone, że nie może zachodzić żaden błąd w notowaniu szybkości tonów muzycznych. Receptor wreszcie obejmuje ogół organów wypisujących i stanowi rzeczywisty melograf.

Przyrząd funkcyonuje wybornie i nie rozstraja się nigdy.

Telefonja wodna. Niemniej ciekawym i ważnym wynalazkiem jest sposób korespondowania za pośrednictwem drgnień wody. Dziennik nowo-yorkski *The electrical world* podaje proces, zastosowany przez Edisona w urządzeniu tego rodzaju komunikacyj telegraficznych, *bez użycia drutów przewodnikowych metalowych.* Wiadomo, że głos rozchodzi się z wielką łatwością w wodzie i że nurkowie z odległości 15 mil słyszą szmer, pochodzący z machiny parowej okrętowej.

Przyrząd Edisona umieszcza się w kajucie kapitana; składa się ze świstawki parowej połączonej z machiną i wprawionej w ruch zapomocą klucza. Przewodnik elektryczny przesyła głos świstawki w wodzie; przewodnik ten komunikuje się z rożkiem akustycznym pomieszczonym w pudle okrętowem, poniżej linii zanurzania się statku. Fale przenoszą szybko głos świstawki, uderzającej o rożek akustyczny. Dzwonek elektryczny tym sposobem w ruch wprawionym zostaje w kajucie kapitana, któremu udziela tem samem sygnał ostrzegający.

Na sygnał ten kapitan w tenże sam sposób odpowiada.

Taką jest ogólna konstrukcya przyrządu; Edison dotąd jednak nie podał szczegółów tego telefonu podmorskiego.

Hygrometr uproszczony. Przyrząd hygrometryczny pomysłu Huberta z Orleanu odznacza się niepospolitą czułością i prostotą. Konstrukcya jego bardzo łatwa.

Każdemu wiadomo, że niektóre rośliny obdarzone są własnościami hygroskopijnemi w wysokim stopniu. Liście tytoniu suche dają już dobre wskazówki. Botanicy znają oddawna własności rośliny *stipa pennata.* Hubert wytworzył hydrometr *chorda filum.* Sama postać rośliny podobnej do sznura, 2 do 3 milimetrów mającego średnicy, ułatwia konstrukcyę przyrządu. Część górną wodorostu przytwierdza się do deszczułki z podziałką zapomocą małego kamyka; drugi koniec wodorostu utrzymuje ciężarek, przeznaczony do pozyskania odpowiedniego natężenia.

Funkcyonowanie przyrządu łatwo zrozumieć; odpowiednio do większej lub mniejszej wilgotności powietrza, wodorost będzie się kurczył lub przedłużał i wskaże stopień wilgoci na podziałce.

Przyrząd Huberta jednem słowem jest rzeczywistym hygrometrem, dokładniejszym od wszystkich hydroskopów dotąd znanych, jak mnicha z kapturem, podobizny kwiatów powleczonych roztworem chlorku kobaltu itp.

Roślina jest pospolitą, budowa hygrometru łatwą, może więc on oddać rolnikom istotne usługi.

Lalemencya. Nową roślinę olejodajną *lallementia iberica,* należącą do rodziny wargowych (Labiateae), pozyskała stacya agronomiczna w Tharand. Jeden kilogram jej nasienia nadesłanym został z Kijowa. Ojczyzną jej jest Krym i Kaukaz.

Owoce lalemencyi są trójkątne, barwy brunatno-czekoladowej, ze znamieniem żółtawem wżłobionem rynienkowato. Olej z nich pozyskany schnie bardzo szybko na powietrzu. Rozprowadziwszy cienką warstwę tego oleju na szkle zegarkowem, widzimy, że po trzech dniach nabiera on spójności żywicy, a po upływie czterech dni — zsychasię całkiem.

Mieszając 5 gramów tego oleju z 1 gramem kwasu siarczanego stężonego, pozyskujemy temperaturę dochodzącą 86 stopni ciepła Celsiusza. Kwas azotny dymiący w stosunku $\frac{1}{4}$ części na 15 części tego oleju, nie daje żadnej reakcyi. Nadmiar zaś tego kwasu rozgrzewa mieszaninę i wytwarza materyę gęstą, ciemno-czerwonej barwy, rozpuszczalną w alkaliach.

Olej otrzymany z lalemencyi przechodzi w stan stały dopiero w 34 stopniach poniżej zera. Ciężkość jego gatunkowa 0.93.

W Rosyi używają tego oleju do oświetlania; bywa też w niektórych miejscowościach jadalnym.

Sztuczne spinele. Nie ma prawie żadnej wątpliwości, że chemicy odtworzą sztucznie wszystkie kamienie drogie, jakie znachodzimy w naturze.

Fremy i Verneuil otrzymali niedawno przepyszne rubiny, obecnie Stanisław Meunier wytworzył spinel różowy. Metoda tego chemika zasadza się na skrystalizowaniu przez stopienie glinku magnezyi, zabarwionego kolorem różowym, za pośrednictwem małej ilości chromu. W tym celu do tygielka grafitowego wprowadza się warstwę magnezyi, drobno sproszkowanej i przesianej, a następnie mieszaninę chlorkuglinu z kryolitem w gatunku jaknajczystszym, równie delikatnie sproszkowaną. Na to wszystko przychodzi warstwa mieszaniny glinu z magnezyą w nadmiarze. Jeżeli chodzi o to, aby produkt pozyskać w barwie różowej, dodaje się w małych ilościach dwuchromianu potażu.

Po 5 lub 6 godzinach prażenia na dobrym ogniu koksowym tygielek odstawia się i oziębia jaknajwolniej.

Rozbijając go znajdujemy w szklarze popielatym małe, błyszczące kryształki różowe. Są to spinele, posiadające wszelkie cechy naturalnych.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Tytan — Aryon z Koryntu, Kraków, 1889.
Antoni Nadachowski: *Poezya i prawda,* Nowy-Sącz, 1888.

Nie śmiemy utrzymywać, że romantyzm, który około 1820 zabłysł pierwiosnkiem na łanach literatury polskiej, a w 1830 wszystkimi powabami gorącego zajaśniał lata, należy już dziś do historyi — zanadto, owszem, promienna otacza go aureola, zbyt małe jeszcze stosunkowo są zasługi dni bieżących, byśmy wieszczom epoki Mickiewiczowskiej pieśń pogrzebu dziejowego nucić mieli; to jednak pewna, że poezya nasza w obecnej dobie, ulegając duchowi czasu, zstąpiła z obłoków na padół nędzy i w swem gospodarstwie artystycznem zaprowadziła odpowiednie zmiany, które też zarówno jej zasługę, jak cechę charakterystyczną stanowią.

Autorowi *Tytana* i *Aryona z Koryntu* gwiazda rozkwitłego romantyzmu w pełnej przyświeca sile. Gdybyśmy nie wiedzieli, że poeta jest działaczem współczesnym, moglibyśmy jego utwory przypisać jednemu z piewców, występujących na widownię między rokiem 1830 a 1863. Bezimienny nie dba, jak się zdaje, o oryginalność pomysłu. „Tytan“ jako bohater — to brat bliźniecy „Konrada“ z *Dziadów* a wzruszająca osnowa przeniknionej nawskroś liryzmem powieści żywo przypomina *Grobowiec* Gaszyńskiego. *Aryon z Koryntu,* poświęcony cieniom Anczyca, jest podobizną *Tyrteusza.* Stosunek swej pracy do pierwowzoru sam poeta w dedykacyi z pełnym prostoty wykreślił wdziękiem:

> Tyrteusza pieśń natchniona
> Promień słońca w duszy zlecił..
> Niech więc przy nim — duch Aryona
> Księżycowym blaskiem świeci...

Trudno o treściwszą a zarazem sprawiedliwszą ocenę własnego dzieła. Pieśń „Tyrteusza“ jest niewątpliwie potężniejsza od pieśni „Aryona,“ chociaż pod względem poprawności rytmicznej słoneczko w kilku miejscach przyćmiewają plamy, obce satelicie.

Główny grzech naśladownictwa i że tak powiem, zacofania artystycznego, okupuje autor odsłanianą co chwila, czystą krynicą głębszych uczuć szlachetnych i wolną od skazy, wytworności formy. Piękną jest nadewszystko apostrofa do „poezyi,“ stanowiąca wspaniały przedśpiewek *Aryona.* Ustępuje ona zapewne prześlicznemu utworowi Konopnickiej (drukowanemu w nr. 44 *Kraju*), ale nie zbledni nawet obok takich, jak znany wiersz Lenartowicza („Kochanko ducha...“ etc.) wniebowstępnych peanów.

Nie rozmyśl, ale przypadek i twardy obowiązek sprawozdawcy każe mi, po *Tytanie* i *Aryonie z Koryntu,* pracach, należących bądź co bądź do skarbnicy literatury twórczej, dotknąć piórem źle utkanych powijaków niemowlęcej myśli, które autor ochrzcił brzmiącym nagłówkiem *Poezya i prawda.* Jest to zbiór *klejnotów* — na szczęście maleńki (format miniaturowy, stronic 34). Zamyka on w sobie cztery „rzeczy... od rzeczy“: *Marzenie, Farysa, Krótką historyę miłości* i *Skrajne kierunki.* Pierwszy z utworów tak się zaczyna:

> W świątynię wchodząc, idę ku progowi
> Modlitwy domu, człeka rąk pracami
> Postawionemu — sercu i duchowi,
> Na symbol ludziom: „sprawiedliwość z nami!“

Z trudnością *zgłębiwszy* osnowę tej wrotki, która w intencyi autora (o ile ją odgadnąć można) przedstawia myśl do pewnego stopnia zaokrągloną, powziąłem przekonanie, że chcąc zostać takim, jak p. Antoni Nadachowski wieszczkiem, potrzeba naprzód prozę połamać i wykoślawić, aby się stała niezrozumiałą, a następnie *urobiony* materyał w ladajakie zaopatrzyć rymy. O spadki rytmiczne mało się on troszczy; ale to mu wcale nie przeszkadza przedrzeźniać Mickiewiczowskiem: „Ja czuję nieśmiertelność...“:

> . . . Ja mam w sobie tyle
> Miłości czystej, aby jej skrzydłami
> *Dolecieć do źródła; tyle potęgi,*
> By wzniosłą myślą, myśli polotami
> *Rozliczne światowe mierzyć okręgi.*

W jednym z ustępów swego *Marzenia* p. A. N. wyobraża sobie, że jest łzą, która „w strumień *stary*“ (sic!) spadła z oka posągu dziewiczego i że pod tą postacią, śród szerokiego natury łona, nie tracąc swej indywidualności, najrozmaitsze a często nieprawdopodobne przechodzi koleje. Wypadłoby tu może przytoczyć kilka wierszy dla przykładu („natrafiam na korę; po niej w dół spływam, *korzonek* dotykam — on mię przyciąga, a w niego ja wnikam...“); ale nie chcemy zadrukowywać *Prawdy* wybełkotanemi przez rymokletę bredniami, które chyba tylko w szpitalu obłąkanych poklask mogłyby znaleźć. Autor zresztą, będąc zarazem nakładcą, „zastrzegł“ sobie „prawo własności“ — dłuższa przeto cytata mogłaby nas o kłopot przyprawić...

Czemże więc jest *Poezya i prawda?* Parodyą, która z początku śmieszy, a po chwili przygnębiające na umysł wywiera wrażenie. Kto ją poznał, życzyć będzie autorowi... zmiany zawodu.

A. G. B.

ULOTNE POEZYE ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Do niedawna jeszcze ogół sądził, że piewca *Irydyona* i *Nieboskiej* był rzeźbiarzem tylko wielkic i wspaniałych posągów, który dłuta sw go nigdy nie poświęcał tworzeniu cudnych, lecz maleńkich statuetek. Powszechnie mniemano, że bezimienny poeta nie zostawił po sobie prawie żadnych utworów ulotnych, lirycznych. On sam nawet mówi:

„Bóg mi odmówił tej anielskiej miary,
Bez której ludziom nie zda się poeta;
Gdybym ją posiadł, świat ubrałbym w czary,
A że jej nie mam, jestem wierszokleta."

I zapewne nie odpowiadały utwory liryczne poety, które znaleziono dopiero po jego śmierci lub wyjęto z listów do przyjaciół, dzisiejszym, a nawet ówczesnym wymaganiom wykwintnej szaty artystycznej. Po części pochodziło to stąd, że w jego sercu

„są niebiańskie dźwięki,
Lecz nim ust dojdą, łamią się na dwoje,
Ludzie usłyszą tylko twarde szczęki,
Ja dniem i nocą, słyszę serce moje."

Był to więc poprostu brak wprawy umiejętnego ubierania swych myśli w sukienkę rymowaną, do czego przyczyniało się także i bezwiedne niedbalstwo ze strony poety. Wiedział on bowiem doskonale, że wiersze te nie są przeznaczone dla szerszego koła czytelników, lecz dla szczupłej garstki przyjaciół, którzy z bałwochwalczem i bezkrytycznem uwielbieniem przyjmą każdy okruch z jego pióra.

Późniejszym pokoleniom, które na jaw wydobyły jego pokaleczone przez przezornych wydawców listy, było również przeznaczonem zebrać rozproszone wiersze w jedną całość. Śmiało można powiedzieć, że owe poezye stanowią albo rymowaną ilustracyę listów, pisanych do Sołtana i Gaszyńskiego, albo też odzwierciedlają ich treść ukrytą przed wzrokiem publicznym. Do tych ostatnich należą wiersze miłosne. W kim i wiele razy kochał się schorowany i wielce rozstrojony poeta, przyznajemy się szczerze, nie obchodzi nas zbyt gorąco. Wiemy tylko, że owe kilkakrotne uczucia, albo nie zbyt szczęśliwe, albo tajone przed światem dla łatwo zrozumiałych powodów potęgowały jeszcze silniej wrażliwość i chorobliwy stan wieszcza. Stąd w jego poezyach miłosnych i wszystkich wogóle dźwięczy głuchy, grobowy ton nienaturalnej rozpaczy, beznadziejnego smutku i zwątpienia. Można porównać je do czarnej nocy jesiennej, w której świst wiatru miesza się z pluskiem kropel ustawicznie padającego deszczu. Stąd na kartach tych „serce mu pęka" po kilkakroć, choć w rzeczywistości odbywa dalej swe obowiązki, stąd „myśl jak skorpion w ogniu się przewraca," stąd „smutek go zabił," „od łez swoich się dusi." Słusznie więc powiada p. Chmielowski: „Czarne myśli, rozpaczliwe wykrzykniki, przewidywania najsmutniejszej przyszłości; są to objawy tak pospolite w myśli i pod piórem Krasińskiego, że się do nich i sam, i zapewne jego korespondent, zupełnie przyzwyczaili; nie robiły też one zapewne tego wrażenia, jakby to ich sformułowanie przypuszczać nakazywało." „Komu serce pęka po kilka razy, a mimo to żyje przecież, ten cierpi zapewne i cierpi silnie, ale nie w takiej mierze, jaką wyrażeniem tem chciałby oznaczyć."

Również słusznem i znajdującem dosadne potwierdzenie w owych wierszach ulotnych jest następujące określenie: „Poetycka wrażliwość, skłonność do egzaltacyi, brak doświadczenia w sprawach praktycznej natury, a stąd sądzenie tych spraw według abstrakcyjnych tylko poglądów, wreszcie arystokratyczny punkt widzenia: oto główniejsze czynniki, wywołujące u Krasińskiego zdania o wypadkach i ludziach." Poglądy i zasady możnowładcze ujawniły się głównie w pogardzie dla mieszczaństwa i jego wolnomyślnych dążeń, których widownią była Francya między 1830—1848 rokiem. Dość przypomnieć pewne ustępy z *Nieboskiej komedyi*, by zrozumieć, jaka nienawiść zaślepiała dość kiedyindziej sprawiedliwego wieszcza. I w wierszach ulotnych nie zapomniał on wypalić piętna hańby na czole nienawidzonego przez się „rodu kramarzy." Oto, jak brzmi początek wiersza p. n. „Na sprowadzenie zwłok Napoleona":

„Lecz wszystko świeckie dziś pełne podłości...
Ludzie, zagrząszy na wygód mieliźnie,
Gorzej umarli, niż umarłych kości,
Świecą dusz próchnem po życia płaszczyźnie...
Świat dziś kałużą rozmiękłego błota,
W której się wala — bóg ich — cielec złota!
Wszędzie stek kupców, wszędzie ród kramarzy,
Ze wszystkich plemion najnędzniejsze plemię.
Z czołem pogodnem, gdy je hańby brzemię
Tłoczy; z natchnieniem, gdy o zysku marzy —
A wtedy tylko z rozpaczy wyrazem
Gdy w giełdach wszystkich spadną ceny razem..."

W przeciwstawieniu do tego „podłego plemienia" wielbi Krasiński, podobny w tem do milionów jemu współczesnych, a setek tysięcy jeszcze dzisiaj, Napoleona jako „ducha wielkiego godło ocalone." Zabawne to porównanie, gdy zważymy, że mało kto właśnie gnębił ducha i myśl ludzką tak, jak ów śmiały korsykańczyk, wypukle, a okropnie odmalowany przed dwoma laty przez Taine'a.

Z tego również czasu (1841) i z tą uroczystością bezpośrednio i ściśle wiąże się jeden ustęp *Myśli*, w którym jeszcze wyraźniej widnieje bezgraniczna cześć dla wielkiego zdobywcy. „Łzy mi się zakręciły w oczach, gdym ujrzał cesarza w trumnie z butami spleśniałymi, z pod których nagie palce nóg już świecą, z zamkniętemi oczyma, z pół otwartemi ustami, ale nie oddechem, ale ręką śmierci. Doskonały to rysunek." Tu na chwilę przerwać musimy, by wyrazić podziw dla dokładnego, niemal reporterskiego opisu trupa. Podobny talent ujawnił i Wiktor Hugo w opowiadaniu również o pogrzebie sprowadzonych do Francyi zwłok Napoleona. „Mało rzeczy— pisze dalej poeta — równie silnie a gorzko w duszę mnie uderzyło na świecie. Zdało mi się, żem ujrzał coś tak wielkiego pod ziemią, jak pierścień Herszela nad nią!"

Krasiński między 1836—1848 r. „stale oskarżał własnych ziomków o podłość."

„Bo gdzie tknę ręką, płazy napotykam
Ruchome, chłodne — moich bliźnich dłonie;
Gdzie wzrokiem sięgnę, głąb dusz ich przenikam—
A tam fałsz czyha, lub żar złości płonie
. . . .
Myślą, że maskę wdziawszy karnawału,
Miedziane czoło cofną mi z przed oka —
O! jest szał święty, co pada z wysoka —
Lecz wyście tylko arlekiny szału!"

Znamiennym jest utwór p. n. „Windobona," pisany w październikowych dniach 1848 r. Wówczas to Windischgraetz i Jellaczyc na czele kroatów, odparłszy węgrów, weszli wśród potoków krwi do „cesarskiego miasta nad Dunajem."

„Nad miastem chmury apokaliptyczne,
W mieście waśń, ogień, gwałt, mordy uliczne,
Wiedeń się trzęsie i tarza, i zżyma,
Woła ratunku! bo biada mi, biada!
A grzmot Wiedniowi z nieba odpowiada:
Na dziś, o Wiedniu! Sobieskiego niema."

Tylko czasami, rzadko umiał wydobyć ze strun swej liry jakiś ton bardziej pogodą i radością tchnący. Wtedy to zwał się szczęśliwszym od aniołów i jaśniej spoglądał w przyszłość. Lecz wnet pierzchało wesele; odpychał je bowiem dobrowolnie, wołając:

„Lecz precz odemnie! kuszące lazury —
— Przez ból hartują się piersi człowieka —
Ja ból obieram — w każdej chwili ranę
Do piersi przyjmę . . . . . ."

A znanem jest wyrażenie Krasińskiego, iż jedynym faktem jego życia to ból. Nękały go cierpienia i moralne i fizyczne; jednak tworzył, ile mu tylko sił starczyło. Choć więc trudno zgodzić się z wyznawanemi przez niego hasłami, trzeba mu oddać hołd za to, że, jak mógł, tak spełniał społeczne obowiązki i nie marnował danych mu zdolności.

A. N.

T E A T R.

Józef Łoziński: *Jestem literatem*, krotochwila w 3 aktach.

Odrazu, na pierwszy rzut oka można poznać, że p. Łoziński wzory i pomysł do swego utworu zbierał na bruku krakowskim. *Jestem literatem* bowiem wyszydza manię wielkości, a w żadnem innem mieście nie zdołasz napotkać tyle rzekomo sławnych i wielkich ludzi, jak właśnie w Krakowie. Powietrze małomiasteczkowe, zgęszczone wśród zacieśnionych parafiańskim stosunków, zawiera mnóstwo zarazków dumy i pychy. Dostają się one do serc i głów mieszkańców, a lada przyjazna okoliczność rozwija je niepomiernie. Wówczas chory nabywa przekonania, że jest zbawcą, jeżeli nie ludzkości całej, to przynajmniej powiatu krakowskiego, odpowiednio zachowuje się i wymaga głębokiego szacunku, a często nawet pokory ze strony otoczenia.

Oto naprzykład hr. X. kupił dwa obrazy, zapisał się do Towarzystwa sztuk pięknych, jako hrabia z łatwością został wybranym do komitetu i już sądzi, że jest wielkim opiekunem malarstwa, głośnym estetykiem itd. Tam znowu kroczy archeolog U., członek Akademii umiejętności. Nie skończył dwóch klas gimnazyalnych, lecz ukłonami dostał mały urzędzik, a wyjadając obiady u księży, szperał dla zabicia czasu w ich księgozbiorach. Znalazł tam kilka starych guzików i napisał o nich rozprawę jako o zabytku z XII wieku. Wprawdzie wykryło się potem, że były to guziki od mundurów austryackich, lecz przyjaciele milczeli, a U. został słynnym znawcą zabytków przeszłości.

Podobnych opowieści, prawdziwych co do słowa, możnaby przytoczyć setki całe; nie na to przecież czas i miejsce. Powyższe służyły tylko do udowodnienia, że p. Łoziński wcale bystro patrzył na otaczających go ludzi i umiał poznać już nie ich słabostki, lecz grzechy. A grzechem owa mania staje się wtedy, gdy dotknięty nią zewsząd wymaga hołdów i nie znosi prawdy, tych zaś, którzy mu ją mówią, zowie bezbożnymi demagogami. W Krakowie podobne przezwiska są na porządku dziennym.

P. Agapit Ciurułkiewicz, bohater sztuki, zaczyna wierzyć, że jest literatem, bo raz napisał korespondencyę do gazety, a następnie przedmowę do kalendarza. Wierzy, że imię jego otacza sława, że należy mu się jubileusz za ćwierćwiekową pracę, gdyż podszepnął mu to Kręgielkiewicz, szczwany lis. Ten ostatni ma syna, który musi ożenić się koniecznie z córką sławnego człowieka, bo inaczej przepadnie pół miliona, przekazane przez stryja. Kręgielkiewicz ojciec tedy wmawia w Agapita, właśnie posiadającego córkę, i w ogół potrzebę owej uroczystości. Odbywa się ona na scenie, a pochwalne mowy, wygłaszane przez ludzi, niewiedzących nawet, kim właściwie jest p. Ciurułkiewicz, prawdą swą życiową wywołują na twarz widza uśmiech, lecz uśmiech gorzki i smutny.

W krotochwili takiej, jaką zna nowoczesny teatr francuski i niemiecki, nie na-

leży szukać ani prawdopodobieństwa, ani psychologii, ani wykwintnego stylu. J. Łoziński przykładnie zastosował się do tych wymagań, częstokroć nawet przekraczając ich granice. Wtedy to sceny, kreślone jego piórem, rażą albo naiwnością, albo też językiem zaniedbanym i godnym knajpki.

Już to widocznem jest, że autor życia zupełnie nie zna. Skąd np. wziął się hrabia (ulepiony na wzór tysiąca salonowych sztuk francuskich) w domu małomiasteczkowych mieszczan i to jeszcze w charakterze narzeczonego? Z wyjątkiem pomysłu i głównego bohatera, reszta osób została po zniesieniu rodowodu przeniesioną z innych utworów. Powitać je przeto trzeba jako starych znajomych.

Cały dowcip tej krotochwili polega na frazesach, a nie na sytuacyach; stąd sztuka może należycie podobać się tylko wskutek bardzo starannej gry artystów, jak to rzeczywiście w tym razie miało miejsce.

Na sam koniec jeszcze jedna uwaga. *Jestem literatem* przypomina pod względem budowy swej kościół św. Aleksandra w dzisiejszym jego stanie. Część budynku posiada inny styl, druga część również odrębny. I w krotochwili znajdują się sceny, pisane ręką jak gdyby nader doświadczoną, gdy po nich lub przed niemi mamy znowu inne, liche i mierne. Całość wskutek tego robi wrażenie dzieła dwóch głów i dwóch piór.

A. Witski.

POEZYA.

GŁOS STAMTĄD...

Huk gromów myśli mojej niesie pokrzepienie,
Bo przybywając z ciemnej sfer podniebnych głuszy,
Zda się krzykiem wściekłości jakiejś żywej duszy,
Która klątwą obwieszcza światu swe istnienie.

A więc jest tam ktoś? Z groźnem widzę go obliczem,
Jak zabija strzałami piorunowych grotów...
Straszna siło! czemkolwiek jesteś, wiedz, żem gotów
Stokroć lepiej rozprawiać się z tobą, niż — z niczem!

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przygoda konsula niemieckiego w Sosnowcu. — Ludzie znani wobec ustawy paszportowej. — Wstręt do własnego wynalazku. — Co jest wiza. — Nowa kampania oszczędnościowa. — Zarząd kolei zastępujący całą służbę. — Co jeszcze można oszczędzić. — Fundusz dobroczynny dla straży ogniowej. — Jeszcze „słówko“ o grafice. — Pyłek i góry. — Uczniowie aptekarscy. — Choroba, od której nie umrzemy.

Now. Wremia opowiada zdarzenie następujące:

Konsul niemiecki w Warszawie, p. Rechenberg, powracając z polowania za granicą, został zatrzymany w Sosnowcu, gdyż nie posiadał na paszporcie odpowiedniej wizy. Dopiero wskutek prośby telegraficznej do tutejszego zarządu żandarmów otrzymał pozwolenie dalszego przejazdu. Wypadek ten — według gazety petersburskiej — wywołał dwa sprzeczne sądy: jedni utrzymują, że p. Rechenberg, zajmujący swoje stanowisko od lat dwudziestu jest osobistością dobrze znaną, a więc utrudnień spotykać nie powinien, oraz że umowa międzynarodowa uwalnia konsulów od formalności paszportowych; drudzy zaś twierdzą, że taka umowa wcale nie istnieje.

Czy tego rodzaju układ był kiedykolwiek zawarty i przywilej konsulom nadany, o tem wie tylko ministeryum spraw zewnętrznych, a jeżeli tak jest, to samo prawo rozcina węzeł i wysnute z niego wątpliwości. Ale całkiem inną wagę ma inny wzgląd, rzucony tu na szalę, mianowicie, czy ktoś już przez to jedynie, że jest „znany,“ stoi po za ustawą paszportową? Nic bym przeciwko temu nie miał, gdyby tak było, gdyby przed „znanymi“ otwierały się wszystkie rogatki graniczne, a mimo to sądzę, że żandarmerya pruska zatrzymałaby ich na granicy, jeśliby nie posiadali paszportów wizowanych. Pójdę dalej: skoro dla „znanych“ niepotrzebną jest wiza, to również zbyteczne są paszporty. Ażeby więc w tym wypadku nie pogwałcić logiki, należy przyznać, że: ponieważ obowiązek dopełniania tej formalności dodatkowej jest wynalazkiem niemieckim, który inne państwa zastosowały u siebie bądź przez naśladownictwo, bądź przez odwet; ponieważ sami twórcy tego utrudnienia wykonywają je bez żadnego ustępstwa, więc nie mogą wzajem żądać ulg od państwa sąsiedniego, którego poddani dźwigają nałożone przez nich brzemię. Bo wszakże wizy najdotkliwiej dokuczają przybywającym do Prus z Królestwa i Cesarstwa. Zresztą, zastanówmy się, czemże są one więcej, niż formalnością, jeżeli nie wyzyskiem? Jeden z tysiąca Majewskich pragnie wyjechać do Berlina; konsulat niemiecki podświadcza mu paszport bez żadnych dowodów i badań, nie mając żadnego pojęcia, kim jest ów Majewski — jakież więc znaczenie ma ta ceremonia prócz opłaty kilkudziesięciu kopiejek? Jeżeli zaś stanowi chrzest dla podróżującego i zmazuje jego grzechy, niechże niemcy nie unikają tej święconej wody, którą sami pobłogosławili.

Zdawało się, że zarząd kolei Nadwiślańskiej zasnął na zdobytych wawrzynach. Przez pewien czas istotnie pompa oszczędnościowa odpoczywała. Nagle znowu kilka pism dało znać o jej działaniu. Według *Kuryera warsz.* oficyalistom, powołanym do losowania wojskowego, wytrącono z pensyi za czas na to stracony, chociaż prawo wyraźnie tego zabrania. Bo cóż winien biedak, że musi spełnić powinność i dla niej porzucić pracę? Duchy ekonomii kolejowej prawdopodobnie rozumują tak: jeśli go wezmą do wojska, otrzyma żołd; jeśli nie— wygrał wielki los, w każdy więc wypadku możemy na nim oszczędzić. Jednocześnie *Gazeta lubelska* donosi, że nowoprzyjęci dróżnicy pobierać będą tylko dziesięć rubli miesięcznie, a ich żony — dwa, oraz że od Nowego roku ilość robotników stałych na linii ma być zmniejszoną o dwu (z ośmiu) w każdym rewirze. Jedno z pism robi słuszną uwagę, że jeśli zarząd jeszcze nieco dalej pójdzie w tym kierunku, „zaoszczędzi“ całą służbę i pozostanie sam. Zapewne byłoby to zupełne osiągnięcie ideału: p. Hantower przed ruszeniem pociągu odebrałby bilety, potem siadł na lokomotywę, przy zwrotnicach zatrzymałby ją, zeskoczył i nastawił szyny, na stacyach poświadczyłby sobie cedułę, zatelegrafował, zadzwonił i znowu jechał dalej. Ileż by zyskano przy tym systemie bez konduktorów, zawiadowców, telegrafistów, dróżników! Proszę policzyć same gwizdawki nadkonduktorów, które w takiem urządzeniu byłyby zbyteczne! Do siebie samego przecie p. Hantower by nie gwizdał. A czyż na tem kończy się szerokie pole oszczędności? Dlaczegożby dróżnicy — jeśli pozostaną — nie mieli łapać w skórzane worki pary, wypuszczanej z rurek lokomotywy podczas jej przystanku? Dlaczegożby konduktorzy — jeśli również pozostaną — nie mieli podczas biegu pociągów pleść słomianek, sprzedawanych na dochód kolei? Dlaczegożby maszyniści — jeśli także pozostaną— nie mieli drutować garnków? I tak dalej. Są to wszystko marzenia bardzo piękne i spełnienia godne, zdaje mi się jednak, że po wypadku pod Borkami wszystkie drogi żelazne a między niemi i Nadwiślańska zahamuje swój rozpęd oszczędnościowy. Przedsięwzięte bowiem przez nią zmniejszenie obsługi może stać się groźnem dla bezpieczeństwa ruchu. Tym panom, którzy tak *per fas et nefas* rozmyślają tylko nad sposobami podwyższenia swej dywidendy należałoby wytłomaczyć skutecznie, że i jej dostarczyciele mają także swoje prawa, których lekceważyć nie powinni. Prawda, droga Nadwiślańska od czasów nowej gospodarki nie miała jeszcze poważniejszego nieszczęścia, ale niechże pamięta, że ją ostrzegano, że jej te wszystkie skąpstwa mogą być kiedyś bardzo surowo policzone. Dzisiaj mówimy tylko o jej nieludzkiej chciwości, oby nie doczekała tego, ażebyśmy potrzebowali sądzić jej odpowiedzialność. Główny zaś nacisk kładziemy na jeden punkt: okrojenie płac niższej służby drogowej wypędzi z niej siły lepsze, a ściągnie rozmaitą zbieraninę, która nie będzie spełniała należycie swych obowiązków a na której jednak polegać będzie bezpieczeństwo tysiąców ludzi.

Przysłowie powiada, że nieszczęścia nie chodzą same, lecz w towarzystwie. Rzeczywiście często występują skojarzone. Prawie równocześnie zdarzyły się w Warszawie dwa wybuchy i morderstwo rabunkowe. Nie do nas należy opisywanie szczegółowe tych smutnych wypadków; zastanowię się tylko nad sprawą ogólniejszą, którą jeden z nich uwadze naszej znowu polecił. Ofiarą wybuchu materyałów palnych w piwnicy pewnego domu padł brandmajstor i kilku strażaków — wszyscy ciężko poparzeni. Z tego powodu przypomniano sobie, że kiedyś powstała myśl zebrania kapitału dobroczynnego dla strażaków, że kilka tysięcy rubli złożonych na ten cel tkwi gdzieś unieruchomionych, że należałoby ten fundusz podnieść i pomnożyć. Istotnie, nie możemy tej powinności od siebie odsuwać. Straż ogniowa jest służbą miejską, narażaną ciągle na utratę życia lub kalectwo, a nie posiada żadnego źródła, któreby jej członków ratowało w niedoli. Dziś, kiedy rządy i fabryki usiłują zabezpieczyć starość i niezdolność inwalidów pracy, niepodobna omijać tych ludzi, którzy stanowią zastęp nieprzerwanie walczący w obronie naszego życia i mienia. Ileż razy oni giną lub zostają kalekami dlatego, ażeby komuś ocalić z płomieni szkatułkę lub futro! Wynagrodzenie, które pobierają za te usługi, nie wyrównywa wcale wysokości poświęcenia i wynikającego zeń nieszczęść. Ciąży więc na nas dług, który musimy spłacić, jeżeli nie chcemy z samolubną obojętnością popełniać wielkiej niesprawiedliwości społecznej.

Jest to obowiązek może jeszcze pilniejszy, niż zmiana pisowni, która znowu włożyła do ręki pióro reformatorskie p. E. Bogusławskiemu. Zanim wypowiedział „Słówko o racyonalnej grafice polskiej,“ zastosował ją naprzód w swej świeżo wydanej *Historyi słowian*, książce, zawierającej dużo cennego, a czasem wątpliwą polityką zaprawionego gadulstwa. Autorowi chodzi głównie o to, że wszystkie narody słowiańskie każdy dźwięk spółgłoskowy wyrażają jednym znakiem, tylko my postępujemy „nieracyonalnie“ (np. zamiast *ć* piszemy *ci*, zamiast *š* — *sz* itd.). Naprzód p. B. się myli, bo znaki twarde i miękie, dodawane do spółgłosek w językach słowiańskich, przedstawiają tę samą, co w naszym, „nielogiczność.“ Powtóre, obecny nasz sposób pisania nie jest „barbarzyńskim,“ bo w takim razie anglików, niemców i francuzów należałoby zaliczyć do dzikich, gdyż mniejsza

chyba zachodzi różnica między dźwiękiem a grafiką w polskiem: *wiele*, niż we francuskiem: *beaucoup* (boku) lub angielskim: *much* (mucz). Po trzecie, sprawa pisowni jest mniej naukową, niż—że tak powiem—społeczną. Takich reform dokonywać może tylko naród, władający samodzielnie wszystkimi organami swej oświaty, zdolny porządkować wytworzony przez nie chaos i zapobiegać złym jego skutkom. Brzmi to wprost żartem lub szyderstwem mimowolnem, kiedy ludzie boleją nad „nieracyonalnością“ w używaniu spółgłosek, chcą obalać parowiekowe zwyczaje i ułatwiać społeczeństwu czytanie obcych literatur tam, gdzie owo społeczeństwo w znacznej większości wcale czytać nie umie. Zanim p. B. upodobni naszą grafikę do grafiki innych słowian, niech wprzód się postara, ażeby kilka milionów polaków wiedziało, co to jest *k*, *g*, *p* — itd. Nam ukształconym wcale to nie dokucza, że polskie *sz* odpowiada czeskiemu š, a masa nieoświecona ani jednego, ani drugiego nie zna. Powinniśmy sobie raz na zawsze powiedzieć, że jakkolwiek pisownia nasza w wielu punktach wymaga poprawy, ze wszystkimi swymi kłopotami stanowi ona sprawę tak małą, że nie warta poważnego ryzyka i przewrotu. Cierpi na nią kilku lub kilkunastu ludzi — oto całe strapienie.

Niedawno zajęto się w dziennikach losem uczniów aptekarskich, którzy są wyzyskiwani i zaniedbani umyślowo podczas swego terminowania. Jest to, mojem zdaniem, kwestya ważniejsza, niż wszystkie jęki ortograficzne. Jeżeli tedy p. B. ma lekarstwo na tę chorobę, niech je nam poda, a będziemy mu wdzięczni. Na „grafikę nieracyonalną“ nie umrzemy, dopóki będziemy mogli i mieli coś nią wyrazić.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Akcyza. *Now. Wrem.* donosi, iż z początkiem roku przyszłego zamierzono podwyższyć akcyzę od niektórych produktów, zawierających w sobie spirytus. Pomiędzy innemi ulegnie opodatkowaniu woda kolońska i perfumy, które następnie mogą być sprzedawane w naczyniach obanderolowanych. Postanowiono również podwyższyć akcyzę od mydeł zagranicznych i przyborów toaletowych.

Cło. Komisya, zajmująca się rewizyą taryf, przyszła do wniosku, że można podwyższyć cło od wyrobów nożowniczych i broni białej. Odnośne punkty taryfy będą zmienione w następujący sposób: wyroby nożownicze w prostej oprawie, nożyce, szczypce, klingi — 16 rs. od puda; te same wyroby w oprawie pozłacanej, posrebrzanej lub z kompozycyi metalowej — 32 rs. od puda. Biała broń, klingi do szabel, broń palna i jej części składowe, patrony 25 rs. od puda.

Kasowanie marek pocztowych i stemplowych za pomocą substancyj chemicznych, niszczących sam materyał marek, wkrótce będzie wprowadzone.

Nadużycie. Inspekcya fabryczna (donosi *Warsz. Dniew.*) odkryła wielkie nadużycie przepisów w pracy nieletnich w fabryce koronek i naszywek przy ul. Pięknej, zatrudniającej 125 robotników. Dzieci pracowały tam po 11 godzin na dobę zamiast 8, nadto czuwały w nocy. Rozalia Feinkindowa, właścicielka zakładu, pociągnięta została do odpowiedzialności sądowej.

Sprawy kolejowe. Poruszono kwestyę ściślejszego określenia odpowiedzialności nadzoru technicznego i administracyjnego za utrzymanie drogi w porządku. Dotychczas na wszystkich kolejach nadzór spoczywał na zarządzającym, naczelnikach dystansów, naczelniku taboru, inżenierach oddziałowych i na t. z. konduktorach drogowych. Obecnie zamiast tej odpowiedzialności ogólnej, ma być wskazanem szczegółowo, za jakie niedokładności kto z wymienionych urzędników ma odpowiadać.

— W roku przyszłym ma się rozpocząć budowa dwóch odnóg fabrycznych, z Łodzi do Zgierza i z Warszawy do Radomia.

— W wydawaniu biletów bezpłatnych na drogach Wiedeńskiej i Bydgoskiej nastąpią pewne zmiany: roczne i jednorazowe będą wydawane nie przez dyrekcyę, lecz przez prezydyum, tj. iż od 5 grudnia r. b. interesowani będą się zgłaszać do biura rad zarządzających.

Leśnictwo. Ministeryum dóbr państwa wydało rozporządzenie, aby w majątkach rządowych były pozakładane szkółki leśne z przeznaczaniem drzewek na wysadzanie dróg.

Inspekcya rządowa kolei w Królestwie Polskiem poleciła zarządom dróg, aby te zaopatrzyły dzierżawców bufetów w dostateczną ilość cenników potraw dla publiczności, tudzież zaopatrzyć butelki z winem w kartki z ceną.

Szkoły. Nauczyciele języków nowożytnych w szkołach rządowych należą często do poddanych zagranicznych. Osoby te posad rządowych zajmować nie mogą, jeśli nie przyjmą poddaństwa. W warszawskim okręgu naukowym kilkunastu nauczycieli tego rodzaju podało już prośbę o przyjęcie tutejszego poddaństwa.

— Zakłady naukowe prywatne w kraju Nadbałtyckim będą wkrótce poddane ściślej kontroli ze strony władz naukowych.

— Od czasu wprowadzenia nowych przepisów obowiązujących, tj. od 13 września b. r., założono w Warszawie 108 szkół wyznaniowych żydowskich.

Stypendya. Profesor prawa w Fort de France na Martynice, p. Alfred Lasocki, wychowaniec szkół płockich, utworzył dwa stypendya po 500 rs. przy gimnazyach w Płocku i Warszawie.

Nadzór nad fabrykami. Oberpolicmajster m. Warszawy polecił komisarzom cyrkułowym ściągnąć od właścicieli i dyrektorów wszystkich fabryk i zakładów przemysłowych w Warszawie deklaracye, zobowiązujące ich, niezależnie od wzmocnienia nadzoru nad niebezpieczeństwem robotników, do niezwłocznego zawiadamiania policyi o każdym nieszczęśliwym wypadku. Wykraczający przeciw powyższemu przepisowi, pociągani będą do odpowiedzialności sądowej.

Loterya. Przy rozdawaniu losów na następne trzechlecie, kolekta loteryjna ma być odebrana poddanym zagranicznym i oddana przedewszystkiem wdowom po urzędnikach, opiekunom sierot i byłym wojskowym. Żydzi, o ile nie służyli w wojsku, także będą ograniczeni w tych prawach.

W stanie Minnesota w mieście Duluth niedawno polacy obchodzili poświęcenie chorągwi towarzystwa „Postęp,“ rocznicę odsieczy wiedeńskiej i otwarcie loteryi fantowej na budowę kościoła polskiego.

Muzeum tatrzańskie. Zawiązano nową instytucyę naukową pod nazwą: „Muzeum tatrzańskie imienia dr. Chałubińskiego,“ w celu zbadania gór polskich pod względem przyrodniczym i etnograficznym. Członek-założyciel składa jednorazowo 200 zlr., zwyczajny płaci rocznie 10 zlr. Zarząd składa się z pięciu osób, tudzież kustosza, bibliotekarza i skarbnika. Budynek w stylu budownictwa górali tatrzańskich mieścić będzie dwa oddziały, przyrodniczy i etnograficzny. Muzeum ma jeszcze jeden cel praktyczny: wyzyskanie przemysłu i zasobów miejscowych, szczególnie rudy miedzianej.

Podatek nowoustanowiony od zapałek przyniósł dochód przewyższający znacznie obliczenie ministeryum.

Muzyka. Odbył się koncert na dochód studentów, w którym uczestniczyli pp. Barcewicz, Michałowski, M. Szleziger, Kotarbiński i inni. Wykonanie było staranne, dochód pokaźny. — Kompozytor lwowski p. Gall, przedstawił publiczności warszawskiej swoje pieśni, które zyskały niezwykłe uznanie. Jest w nich dużo wdzięku i serdeczności.

Kursy mleczarstwa. W departamencie rolniczym rozstrzyganym jest obecnie projekt przygotowywania specyalistów w gospodarce mlecznej. Sprawa ta jest w związku z projektem uzupełnienia kilkoma oddziałami dodatkowymi instytutu leśnego w Nowej Aleksandryi.

Zjazd przedstawicieli rybołówstwa otwarty będzie w Petersburgu 24 lutego r. p.

Prof. Karejew będzie miał w Petersburgu na rzecz Towarzystwa pomocy dla niezamożnych studentów dwa odczyty: „O badaniu przyczyn upadku Polski“ i „O istocie procesu dziejowego.“

Odczyty ilustrowane z obrazami niknącymi odbędą się w b. m. na korzyść Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Zajmują się tem artyści: pp. Ryszkiewicz, Rozen i Owidzki.

Orkiestra tworzy się przy Towarzystwie cyklistów w Warszawie. Na wiosnę wystąpi publicznie.

Sztuka. Przedsiębiorca paryski, Hugo Andrieux, zapowiada urządzenie w Warszawie czasowej wystawy akwarel malarzów hiszpańskich.

W Kijowie odbędzie się wkrótce zjazd leśników. Kilku warszawskich specyalistów otrzymało zaproszenie na te narady.

Oszczędności nowe zaprowadza zarząd kolei Nadwiślańskiej. Z dniem 1 stycznia będą zniesione niektóre posady w biurze naczelnika telegrafów, tudzież wykreślone z budżetu etaty magazyniera i jednego rachmistrza.

Bank ziemski w Kijowie wystawił na sprzedaż 173 dóbr ziemskich w gub. kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej i czernihowskiej, oraz 37 nieruchomości miejskich w Kijowie, Kamieńcu Podolskim, Żytomierzu, Wieżynie i Czerkasach. Dług ciążący na obu rodzajach nieruchomości wynosi 4 miliony rs.

Konkurs. Zarząd m. Odesy ogłasza konkurs na projekt szpitala miejskiego o 1,400 łóżkach. Dwa najlepsze projekty otrzymają 2,000 i 1,000 rs.

Wystawa volapükistów odbyła się w Lipsku, połączona z odczytem specyalnym jednego z najżarliwszych zwolenników języka międzynarodowego, prof. Scheppera z Monachium. Wystawiono mnóstwo korespondencyj, pisanych volapükiem, z różnych stron, nawet z Chin i Japonii, tudzież dzieła naukowe w tym języku.

Zmarli. Ksiądz Stefan Kuczała, w Szelpakach w pow. zbaraskim, poseł na sejm galicyjski, b. deputowany do austryackiej Rady państwa. Był prezesem klubu rusińskiego i kilku towarzystw rusińskich. W swoich robotach publicznych był zmiennym, raz wystąpił z mową bardzo ugodową, skutkiem czego nawet wyborcy polscy z Tarnowa i Bochni wybrali go do rady. Następnie jednak coraz ostrzej występował przeciw polakom.

— Księżna Massalska, we Florencyi, znana pod pseudonimem Dora d'Istria. Ur. w Bukareszcie 1828 roku. Wydała sporo studyów poświęconych etyce, wszystkie w duchu kościelnym. Pisała powieści dla młodych dziewcząt. Dzieła jej wyszły niedawno w dziesięciu tomach.

Do dzisiejszego numeru dołączono: ogłoszenie Składu głównego obrazów, fotografij, sztychów i ram Z. Muszkata, oraz prospekt *Gazety rolniczej*.

Dentysta I. BAUMGART, Żelazna Brama Nr. 4. przy ogrodzie Saskim. Wprawia zęby sztuczne, leczy, plombuje i reperuje za możliwie przystępne ceny. 7—2

WARSZ. AKCYJNE

Towarzystwo Pożyczkowe

(LOMBARD AKCYJNY).

Wydaje pożyczki na zastaw kosztowności i towarów w centralnem biurze przy Placu Wareckim Nr. 2 i w filii przy ulicy Leszno Nr. 2 (róg Przejazd). Pobiera procent od pożyczek na kosztowności do 100 rs. po $1^3/_4$ — do 500 rs. po $1^1/_2$, zaś od pożyczek **wyższych nad rs. 500 po $1^1/_4$** procentu miesięcznie. Od pożyczek na towary, procent miesięczny liczy się $^3/_4$ od pożyczki i 1% od szacunku bez względu na sumę. Biura otwarte od godziny 9-ej rano do 4-ej po południu. 0—1

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH.

Nagrodzone listem pochwalnym i medalami na Warszawskiej, Krakowskiej i Lwowskiej Wystawach Hygieniczno-Lekarskich, koncesyonowane przez Władze Lekarskie

Ekstrakt i Karmelki „Leliwa,"

przygotowywane podług wskazań Lekarzy i Chemików, pewniejsze i o 50 procent tańsze od zagranicznych; flaszka ekstraktu miodowo-ziołowo-słodowego kop. 75, tegoż ekstraktu z dodaniem chiny lub żelaza i chiny rs. 1, paczka karmelków kop. 15. Sprzedaż w Aptekach i Składach aptecznych w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie. Główny skład **w Warszawie** w Składzie aptecznym Mrozowskiego i Spiessa, w Odesie u Gajewskiego, w Astrachaniu u Kerna, w Tyflisie u Ajwazowa, w Baku u Czyszkowskiego, w Moskwie u Mattejsena. 6—2

Czytelnia dla kobiet

stale zaopatrywana w nowości treści naukowej i wybór dzieł beletrystycznych oraz w pisma peryodyczne zagraniczne i krajowe, mieści się

na Krakowskiem-Przedmieściu Nr. 7.

Abonament miesięczny na książki:

w dwóch językach	**kop. 40,**
w trzech językach	**kop. 50,**
w czterech językach	**kop. 60,**
w pięciu językach	**kop. 70.**

Kaucya po rublu od książki.

Osoby, opłacające abonament, nic nie płacą za czytanie pism na miejscu.

Wejście jednorazowe

kop. 5. 10—6

Fabryka Rękawiczek

J. LUKREC

Tłomackie Nr. 3,

poleca we wszystkich gatunkach i znacznym wyborze RĘKAWICZKI, po cenach fabrycznych. 3—3

Ubezpieczenie na życie

w

TOWARZYSTWIE UBEZPIECZEŃ

„ROSYA"

Najwyżej zatwierdzonem w r. 1881.

Ubezpieczenia:

Kapitałów na wypadek śmierci
Pensyj dla wdów
Kapitałów na starość
Pensyj na starość
Posagów dla panien
Stypendyj dla chłopców
Dożywocia (rent).

Ubezpieczeni uczestniczą w zyskach Towarzystwa

Do 1 stycznia 1888 r. w Towarzystwie „ROSYA" ubezpieczyło się **16,681 osób** na kapitał **49,061,640 rubli.**

Dywidenda ubezpieczonych w r. 1888 wynosi 12%

Bliższe szczegóły znajdują się w broszurach Towarzystwa Ubezpieczeń „ROSYA" wydawanych i wysyłanych, na żądanie, BEZPŁATNIE przez **Zarząd w St. Petersburgu** (Wielka Morska **Nr. 13), Jeneralną Reprezentacyę w Warszawie** (Marszałkowska **Nr. 144)** i przez agentów Towarzystwa w miastach Państwa. 3—3

C Z Y T E L N I A
KAZIMIERY PASZKOWSKIEJ

Nowy-Świat Nr. 58,

Największy wybór nowości naukowych i beletrystycznych w pięciu językach, oraz książki dla dzieci. Pisma i miesięczniki krajowe i zagraniczne. Ceny przystępne. Książki kupują się na żądanie publiczności, a zamówione rozsyłają do domów.
Książki zwracane poddają się dezinfekcyi. 3—2

ANTONI RAUCH

Królewska 47, Telefonu Nr. 457.

Skład hurtowy Olejów, Oliw i Tłuszczów,

poleca pp. Fabrykantom wszelkie oleje roślinne i mineralne, waselinę, oraz różnorodne tłuszcze do potrzeb fabrycznych.

122 ark. druku. Rok 1-szy wydawnictwa. **122 ark. druku.**

Nakładem Przedsiębiorstwa Kiosków Warszawskich

wyszedł z druku pierwszy dokładny i wyczerpujący

Przewodnik Przemysłowo-Handlowy

Cesarstwa Rosyjskiego, Królestwa Polskiego i Warszawy

pod tytułem:

„INFORMATOR"

zawierający: **Adresy Premysłowców, Fabrykantów, Kupców i Rzemieślników w Warszawie,** całem **Królestwie Polskiem i 50-ciu miastach Rosyi. Pierwszą dokładną taryfę domów w Warszawie. — 10,800 Adresów Obywateli Ziemskich w Królestwie Polskiem. — Dział Urzędowy, Informacyjny i Kalendarzowy.** — Tytuły w 4-ch językach. — Skład Główny **w Kantorze Administracyi Kiosków,** Plac Teatralny Nr. 11. — Cena za egzemplarz w ozdobnej oprawie rs. 4 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 5. 4—3

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Ноября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski